Biblioteka Instytutu Badań Literackich
P II 175

Cena 80 mk.
№ 49. Warszawa, 10 grudnia 1921. Rok II.

TYDZIEŃ POLSKI

Nowy Program Narodowej Partji Robotniczej.

Wśród szerszego ogółu inteligencji naszej mało stosunkowo znaną jest ideologja N. P. R. Powszechnie wie się o niej tyle, że stoi ona na gruncie ściśle narodowo-państwowym, że w celach swych i taktyce jest umiarkowańszą od partji socjalistycznej; poza tem znane są różne jej występy w Sejmie.

N. P. R., po przyłączeniu do Polski dzielnic b. Zaboru Pruskiego, stała się pierwszorzędną siłą polityczno - społeczną w nowej Ojczyźnie. Obecnie posiada najliczniejsze związki zawodowe, które organizacyjnie są zresztą od partji niezależne, ale posiadają wspólną z nią ideologję socjalno-polityczną.

N. P. R. rozciągnęła też swoją działalność i na Małopolskę, w której w pewnych punktach zdobyła, w czasach ostatnich, silną podstawę.

W początkach września r. b. odbył się jej zjazd w Krakowie, na którym uchwalono nowy program partyjny, którego ostateczne zredagowanie polecono Radzie Naczelnej. W połowie zeszłego miesiąca ten kierowniczy organ partyjny uchwalił program w redakcji ostatecznej.

Składa się on z dwu części: ogólnej, zawierającej postulaty zasadnicze partji, oraz teoretyczne ujęcie zagadnień, i szczegółowej, obejmującej drobiazgowo sformułowane żądania. Cechą charakterystyczną, a zarazem dodatnią programu jest to, że usiłuje on wyzyskać rozległe doświadczenie ruchu robotniczego wogóle z ostatnich lat, poczynając od końca ubiegłego wieku aż do chwili obecnej. Godnem uwagi jest też to, że nie zasklepiając się w jakiejś doktrynie, stara się on być w zgodzie z życiem i stać istotnie, nietylko teoretycznie, ale i praktycznie, na gruncie istniejących tendencji rozwojowych społeczeństwa.

Nie jest tu mojem zadaniem omawiać szczegółowo ten program, co wymagałoby oczywiście nie jednego, ale szeregu artykułów. Zadanie moje jest skromniejsze. Chcę dać tylko ogólną charakterystykę tego nowego programu.

Przedewszystkiem stwierdza on, że dążąc do wyzwolenia klasy pracującej, zalicza do niej nietylko tych, co pracują fizycznie, lecz tych wszystkich, co żyją z pracy czy to fizycznej czy umysłowej, a nie z dochodu od kapitału.

To wciągnięcie inteligencji pracującej do szeregów klasy robotniczej jest słuszne. Oczywiście chodzi tu o tę część inteligencji, dochody której są tego rodzaju, że nieumożliwiają jej przejście do klas żyjących z dochodu od kapitału.

Program uznaje solidarność narodowo - państwową, gdyż naród uważa za całość, będącą wytworem historycznym; zarazem jednak uznaje, gdyż nie uznać nie może, istnienia walki klas w całej dziedzinie stosunków. W stanowisku takiem niema żadnej sprzeczności. Program nie zajmuje się wyliczaniem spraw, w których obowiązuje solidarność narodowa, oraz tych, w których ujawnia się walka, gdyż: 1) zwięzłe odgraniczenie jednych od drugich nie jest możliwe; 2) praktycznie nie jest konieczne, gdyż samo życie odgranicza je łatwo. Program ogólnie tylko zaznacza, że uznaje walkę klas w granicach ogólno - państwowych interesów i nie nadając jej znaczenia uniwersalnego, co wyróżnia go od programów socjalistycznych.

Nowy program wskazuje też na dążenie do nowego ustroju, który jednak różni się znacznie od tego, jaki propagowany jest przez socjalistów.

N. P. R. dąży też do socjalizacji, w formie upaństwowienia, kooperatyw i przejścia na własność związków zawodowych pewnych dziedzin produkcji; ale: 1) nie uważa powszechnej socjalizacji ani za możliwe, ani pożądane, 2) wogóle zaś różne jej formy uzależnia ściśle od sprawności aparatu państwowego, o ile chodzi o upaństwowienie, oraz od wyrobienia klasy robotniczej, o ile chodzi o inne formy socjalizacji.

http://rcin.org.pl

Wedle nowego programu proces socjalizacji przedstawiać się będzie jak następuje: te dziedziny, które uległy w wysokim stopniu centralizacji, w których inicjatywa prywatna właściciela jest żadna prawie (wielkie tow. akcyjne, kartele), albo które są szczególnie ważne dla państwa — ulegnąć winny stopniowo, przy sprawnej organizacji państwowej — upaństwowieniu; inne pozostać powinny we władaniu prywatnem. Z czasem, o ile te inne ulegną takiemuż procesowi centralizowania — powinny być także upaństwowione, ale znowu inne niescentralizowane i nowe winny być pozostawione swym właścicielom.

Jako punkt wyjścia reformy obecnego ustroju, nowy program wysuwa: 1) walkę z brakiem pracy i 2) zaprowadzenie minimum płacy, celem zwalczania zbyt małych płac.

Słusznie więc program wysuwa na plan pierwszy usunięcie dwu tych plag obecnego ustroju. Brak pracy usunąć można przez opracowanie rozległego projektu pożytecznych robót publicznych, obliczonych na długie lata, któryby w czasach kryzysów był szybciej realizowany przez państwo, oraz przez ubezpieczenie na wypadek braku pracy.

Minimum płacy stopniowo się realizuje w życiu już obecnie; zaprowadzać go mogą państwo i gminy, a później i przedsiębiorstwa prywatne.

Nowy program, w swej części ogólnej, podkreśla, że podstawą wszystkich reform socjalnych musi być wzmożenie sił wytwórczych, bez którego to warunku pozostaną one tylko na papierze.

Rozumiejąc doniosłość międzynarodowego porozumienia się w sprawach pracy — program wypowiada się za niem, nie nadając mu jednak charakteru naogół ściśle obowiązującego.

Co do załatwienia spornych spraw politycznych na drodze polubownej, przez odpowiednie organy międzynarodowego porozumienia się — programu drogę tę aprobują, protestują jednak przeciwko szablonowemu rozwiązywaniu spraw za pomocą formułek ogólnikowych, wykazując konieczność rozpatrywania tych spraw indywidualnie, z powodu wielkiej ich złożoności.

Z powyższego już przedstawienia części ogólnej programu czytelnicy widzą, że dodatnią jego stroną jest życiowe ujęcie zagadnień, brak doktrynerstwa i dążność tego, aby sprawy ujmować w sposób nie ogólnikowy, ale możliwie dokładny. Program nie ugania się za wysuwaniem formułek popularnych i ogólnikowych, obiecujących dużo, ale nie realnych.

Z drugiej znowu strony unika on wchodzenia w szczegóły tam gdzie się nie dadzą one przewidzieć. Program podkreśla wielkie znaczenie państwa widząc w niem, w demokracji, nie organ panowania jednych warstw nad innymi, lecz organ kompromisu, porozumienia społecznego. Stojąc na tem stanowisku nie oddaje jednak wszystkiego państwu i wskazuje na doniosłości akcji społecznej z dołu na kooperatywy i związki zawodowe.

Dla ludzi powierzchownych, przyzwyczajonych do operowania prostymi formułkami, wyrażonymi w formach kategorycznych — program ten wydaje się zbyt powściągliwym i niekonsekwentnym; ale pogląd taki byłby błędny. Poważny program, wysuwając pewne postulaty skomplikowane nie może i nie powinien sztucznie ich upraszczać. Same tendencje życia społecznego są, w większości wypadków nie jednolite. Program poważny musi to skonstatować i wyprowadzić z tego odpowiednie wnioski. Tak jest nap. ze sprawą socjalizacji, o czem miałem już sposobność pisać w „Tygodniu Polskim".

W szczegółowej części programu zasługuje na uwagę wysunięcie konieczności połączenia wszystkich ziem polskich. Następnie ważnem jest stwierdzenie w programie tego, że N.P.R. uznaje zasadę większości i odrzuca wszelką dyktaturę polityczną.

Słusznie usunięto z programu zadanie bez-

Na marginesie teatru.

Sztuki, grane w ostatnich tygodniach w teatrach stolicy, nasuwają szereg rozważań. Gdy bowiem zestawimy wrażenia otrzymywane na dramacie St. Przybyszewskiego „Miasto" z temi, które nam daje komedja Savoire'a „Ósma żona Sinobrodego", z siłą nieprzepartą narzuca się zagadnienie *autora, aktora i widza.*

Czem się to dzieje, że pierwszorzędny dramaturg Przybyszewski nie nawiązuje żadnego z widownią łącznika, co więcej, w sferze jego twórczej sugestji autorskiej nie są nawet aktorzy. Czy może jest to wina aktora, który „nie wszedł w kontakt" z autorem, a więc nie oddziałał na widza? I w jakiej płaszczyźnie ten kontakt się odbywa?

Savoir, którego komedję w ciągu trzech bez przerwy miesięcy grano w Teatrze Małym, daje właściwie pomysł. Djalog prawie minimalny, przeciętny Co za różnica naprzykład z djalogiem Becque'a, którego „Paryżanka" weszła na repertuar Teatru Małego. U Becque'a rozmowa ma pointe'y i raz po raz tryska rakietami dowcipu, a treść sztuki rozgrywa się w płaszczyźnie djalogu. *Autor* zdobywa widza na drodze djalektycznej sugestji, zaś w „Ósmej żonie Sinobrodego" djalog nie odgrywa roli. W komedji Savoir'a dominuje akcja, ruch na scenie. Partyturę dał autor, ale libretto aktorzy. A widz zaś ulega czarowi libretta. Gra aktorów (p. K. Junosza Stępowski i nieodżałowanej pamięci Mary Mrozińska specjaliści to od takich ról [1]), stwarza atmosferę psychicznych zdarzeń. Widz ulega złudzeniu, że się coś istotnie dzieje.

Po wyjściu zaś z teatru śmieje się z siebie, że wierzył przed chwilą w szereg tych nieprawdopodobnych historji. Po sztuce nie zostaje nic, uczucie pustki. Ale aktor trzyma widzów w napięciu przez cztery akty. Dzięki aktorskiej twórczości, stwarzającej typy charakterów albo typy zdarzeń — a zdarzenia też mają charaktery — widz jest wciągnięty w orbitę wpływu aktora i ma wrażenie akcji psychicznej. W istocie rzeczy autor, który dał tylko pomysł, nie przemówił do słuchacza teatralnego, nie dał mu bowiem treści wewnętrznej, dla której transformatorem jest mowa. Dał jeno ramy akcji, obraz jest już rzeczą

[1]) **Żałuję, że nie widziałem w tej sztuce p. Gryficz-Mielewskiej.**

http://rcin.org.pl

pośredniego prawodawstwa ludowego i wszelkiego rodzaju referendum, tych starych, przestarzałych i w większości wypadków, reakcyjnych form demokracji.

Podkreślić należy ustęp, w części szczegółowej, dotyczącej rządów parlamentarnych, zaznaczający, że N. P. R. stoi na gruncie zasady ich przestrzegania.

Pomijam tu cały szereg żądań społecznych i politycznych zwykle zamieszczanych w tego rodzaju programach. Zwrócę tylkko uwagę na ustęp, o wolności strejków ekonomicznych. Otóż to wyraźne wskazanie na nie dowodzi, że N. P. R. przeciwna jest strajkom politycznym, uważając słusznie, że sprawy polityczne należą do Sejmu.

Cały program ma charakter wybitnie narodowo - państwowy.

Smiało powiedzieć można, że stanowi on poważny krok naprzód w ruchu robotniczym.

Nie powstał on raptownie, w ostatnich tylko czasach, lecz ustalał się już od lat paru, na szpaltach prasy stronnictwa. W obecnej swej formie jest tylko całkowitym ujęciem poglądów już wypowiadanych systematycznie.

Niewątpliwie program ten przyciągnie do N. P. R. świeże siły z pośród kół nietylko robotniczych, lecz także i z pośród inteligencji pracującej i młodzieży.

To wszystko, co zdrowym było i jest w programach socjalistycznych — mieści się w omawianym tu programie. Nawet tam gdzie doszli do władzy socjaliści (nie mówią tu o bolszewikach)— nie mogli ani dać, ani obiecać w bliższej przyszłości więcej od tego, co zawiera program N. P. R. Przesądzanie już obecnie programu obliczonego na bardzo odległą przyszłość nie jest wskazane i trąci utopizmem.

Do poszczególnych punktów omawianego tu programu będę miał sposobność wrócić jeszcze przy omawianiu innych spraw.

Ludwik Kulczycki.

Dzikie obyczaje.

Od pewnego czasu zdarzają się u nas wypadki, budzące wraz z szerokim rozgłosem jeszcze szersze zgorszenie. To redaktorzy pism otrzymują bijące odwiedziny, to poseł sejmowy zostaje spoliczkowany na ulicy. Prawie wyłącznem tłem burzliwych zajść są odczucia polityczne, wirujące wokół postaci na najwyższym szczeblu hierarchji państwowej, zatem pobudliwość, wybujała na gruncie ideowym, zemsta — jakby ją nazwał może socjolog — gromadzka, stadowa. Jest ona bezwarunkowo jednym z objawów zwyrodnienia życia publicznego, owej dużej tkaniny, uprzędzonej z wzajemnej nienawiści, zaściankowości i barbarzyńskiej nieznajomości obyczajów oświeconych. Ludzie, dobrej zresztą woli i zamierzeń, zapominają, że spuszczoną do ciosu pięścią nie wymierza się sprawiedliwości, owszem pcha się do spełnienia apostrofy Mickiewicza: gwałt niech się gwałtem odciska!.. Moglibyśmy tedy doczekać smutnej i zawstydzającej chwili, że pod hasłem walki o przekonania wyrosłyby bojówki, któreby argumentem pałki rozgramiały przeciwników i gasiły w strugach krwi pożar namiętności partyjnych. Wówczas zapanowałaby *vendetta traversa* na modłę korsykańską i pogrążyła i tak niewesołe stosunki nasze w otchłań dantejską! Pomijając wszakże sprawę moralności i dobra narodowego, nie może w kraju wolnym i cywilizowanym odbywać się kneblowanie ust z pomocą metod meksykańskich, nie może utrwalać się wymuszanie zaniechań ujawniania się choćby krzywdzącej opinji pod naciskiem zawisłej w powietrzu, zwiniętej lub rozpłaszczonej dłoni.. Kto tego nie rozumie, zapomina o rzymskiem przysłowiu: *hodie mihi, cras tibi*, zapomina, że ostrych przeciwieństw rozwydrzonych stronnictw nie ściera siła fizyczna, tylko broń inna, duchowa.

Owszem, każdy akt brutalnej napastliwości

---

aktorów. W teatrze wytworzył się kontakt aktora z widzem. Autor jako czynnik aktywny został z tego „spięcia" wyłączony.

Przybyszewski, ten wielki wizjoner i sugestjoner, który zajrzał do najskrytszych zakamarków duszy ludzkiej, posiada rzadką a zarazem tajemną moc władania słowem. W twórczości Przybyszewskiego słowo jest swoistym a niezmiernie ważnym elementem, spełniającym rolę różdżki czarodziejskiej, otwierającej sezamy duszy człowieka. Psycholog Freud, analizując sny (względnie marzenia, myślenie) dociera zawsze prawie do substratu: płciowości. Wiadomą jest rzeczą, że pewien zespół dźwięków wywołuje pragnienia erotyczne. Któż nie zna miłosnego wpływu muzyki?

Otóż strona frazeologiczna twórczości Przybyszewskiego działa na libido sexualis jak Aphrodisiaca. Słowo to operuje wpłaszczyźnie pozaświadomych często wzruszeń płciowych. Na tym właśnie polega jego twórczość sataniczna. Autor nawiązuje łącznik z czytelnikiem bądź słuchaczem teatralnym na płaszczyźnie nieulegającej wątpliwości. Skoro została ustalona płaszczyzna porozumienia, łącznik jest nawiązany. Wrażenie w teatrze ogromne, ale wtedy, kiedy stosunek autora do widowni jest bezpośredni i naturalny. Gdy niema wątpliwości co do płaszczyzn. Wtenczas i aktor ulega sugestji autora, staje się jego niewolnikiem — współtwórcą przy kontakcie z widownią.

Pani Irena Solska - Grosserowa jest jedyną bodaj aktorką zdolną grać repertuar Przybyszewskiego. Podejrzewałem to, obserwując ją w „Nieboskiej" i w „Rosmersholmie".

W „Mieście" wystawionym w „Rozmaitościach", był to jedyny typ zdecydowany. Postawa duchowa tego typu, to przeznaczenie i płciowość. Od pierwszego jej wejścia na scenę, ta cecha jej narzuciła się jako dominanta. Nietylko dlatego, że pani Solska Grosserowa znakomicie gra Kingę, ale ponieważ Kinga jest typem zdecydowanym, podczas kiedy u księcia Leszka możemy podejrzewać fanatyzm idei lub ambicję władztwa, skoro w ars amandi jest typem nijakim. Wskutek tego niezdecydowania, zamaskowania „płaszczyzny" między widownią a sceną niema kontaktu. Przybyszewski bowiem jest mistrzem w zdobywaniu uczuć, w tym, że z maestrją gra na klawjaturze naszych instynktów, najgłębszy ton wydobywając z płciowości, ale nie trafia do intelektu. Konflikt ideowo-moralny typów Przybyszewskiego jest nieporozumieniem. Ulega mu w dramacie Mścisław, zaś książe Leszek wywołuje u nas

http://rcin.org.pl

budzi jeszcze większą przekorę, pcha do walki *à outrance*, do wyrzucenia z piersi syku nawet tam, gdzie przy umiejętnem obejściu antagonista albo milczałby albo co najwyżej skrzywił usta do kapryśnego grymasu. Jeżeli tedy chce się być puklerzem pewnych symbolów, to właśnie popełnia się najdotkliwszą pomyłkę przez zawlekanie swoich wierzeń zamiast na forum zapasów ideowych na przestrzenie zapełnione jarmarcznym zaduchem. W ten sposób zaplamia się raczej miłość dla pewnych zasad i ich widomego piastuna czadem samowoli i zdziczenia, widzącego jedyną rację stanu w rozstrzyganiu zawiłych kwestji—w postaci bezceremonjalnego gwałtu. Jeżeli w dodatku wykonawcami podobnie źle pojętej myśli są osoby o wyższym stopniu wykształcenia, rzucają mimowoli cień na społeczeństwo i wyrabiają w obcych spostrzegaczach mniemanie, że u nas prawo jest chyba trzciną, kołyszącą się pod każdym podmuchem wiatru, pojęciem bez poszanowania, a odniesienia wzajemne czemś jeszcze bardzo pierwiastkowem, nieoszlifowanem przez tradycję i domowe wychowanie. Bo tylko ustawa żelazna i jej spartańskie wykonanie pouczyłyby, że nie wolno szarpać czci i dobrego imienia, nie zaś wyprawy na ochotnika, dające jedynie w wyniku powiększenie zamętu. Znieważający błądzącego przeciwnika przysparza jedynie sobie ujmę, albowiem umiejętność napaści i pobicia świadczy wyłącznie o pewnej wyskokowości i bezskrupulatności, a zatem żadnym argumentem być nie może. O ile zaś chodzi o czysto praktyczny sukces, — to i on jest żaden, nawet w znaczeniu osobistego zadowolenia, gdyż wszystko kończy się albo pojedynkiem, t. j. przestarzałością fatalną, albo sądem honorowym czyli szukaniem kompromisowego wyjścia. Niechby zawadjacy, skorzy do porywczych czynów, zapamiętali pytanie Frycza Modrzewskiego: „Czy zemsta jest cnotą, a czemże u was wzgarda krzywdy?"... Sprawiedliwość ma w sobie taką nieprzepartą moc i czarodziejską potęgę, że zrazu deptana, przenika wolno wszelkiemi szczelinami do dusz i w końcu zwycięża, choćby przed nią spiętrzyły się góry, najeżone tysiącem przeszkód. Poszukiwać jej w drodze skandalu znaczy zaprzepaszczać tryumf prawdy.

Ernest Łuniński.

Dzielnicowość czy unifikacja?

W tej ważnej sprawie, której poszczególne objawy ze strony dawnego Zaboru Pruskiego zdają się poważnie zagrażać zaledwie pozyskanemu zjednoczeniu ziem polskich, zabiera głos mec. Stanisław Bukowiecki w sposób tak trafny i tak bezstronny, że należy się podać jego postulaty szerszemu ogółowi [1]). Przemawia on z podwójnego stanowiska: jako prawnik i jako czujny obywatel kraju. Rozprawiwszy się pokrótce z polemikami w tej kwestji, traktującemi ją raz ze zbytnim sentymentalizmem, to znów z rozdrażnieniem i gołosłownemi oskarżeniami, nie dotykając środków pobudzających i utrwalających separatyzm, jakiemi są specjalnie ku temu stworzone: prasa i publicystyka, mec. Bukowiecki bada przedewszystkiem przyczyny historyczne i prawne tego niepokojącego nas objawu. Na pozór separatyzm mógłby powstawać jedynie w państwach różnonarodowych, z natury swoich interesów i dążeń skłonnych do działań odśrodkowych, trudniej zaś daje się usprawiedliwić w społeczeństwach jednonarodowych. Przebieg faktów historycznych daje jednak co do stosunków polskich pewne usprawiedliwienie. Polityka państw rozbiorczych, wciskając się we wszystkie dziedziny życia zbiorowego, starała się przedewszyst-

[1]) Stanisław Bukowiecki: Dzielnicowość w Polsce współczesnej. Bibljoteka Samorządu.

---

w czasie akcji wrażenie że mu ulega. Są to fałszywe tony. A fałszywe tony wywołują dysharmonję. Gdzie zaś jest dysharmonja, niema mowy, by widownia uległa czarowi bądź potędze sugestji autora. Niema kontaktu, bo nie nastąpiło „spięcie".

Aktorskie braki sztuki uwidoczniły się wyraziściej i wskutek tego, że aktorzy, jako zespół, nie stanęli na poziomie gry nie już znakomitej, ale choćby dobrej.

* * *

Pocieszającym jest objawem, że pisarze polscy coraz bardziej reagują na to, co się wokół nas dzieje od lat szeregu. Że reagują artystycznie, tworząc dla teatru.

Wojna i związane z nią przeżycia stały się impulsem twórczym dla szeregu autorów, począwszy od Żeromskiege.

Utwory o różnej skali wartości i różnej projekcji artystycznej, jak Ponad Śnieg, Biała Rękawiczka, Polityka, Wojna i Miłość, Trybuni, Pocałunek Wojny, które się w ostatnich czasach ukazały na scenie teatrów Warszawy, świadczą o tem, że pisarz polski nie był obojętny na rozgrywający się wokół niego dramat. Inna rzecz, że utwory powyżej wymienione fragmentarycznie zaledwie poruszyły jakąś kwestję związaną z przeżywanym przełomem dziejowym. Dla każdego z autorów tych sztuk, wojna była tylko jednym z czynników w akcji, który ułatwiał, komplikował, bądź tłumaczył rozwiązanie, jak np. niespodziewany spadek z Argentyny, bądź Ananke w dramacie greckim.

Wobec wojny jako wielkiego procesu społecznego postawił nas dopiero K. Wroczyński w swej komedji „Dzieje Salonu" granej w „Rozmaitościach".

Kataklizmy wojenne wywołują gwałtowne i zasadnicze zmiany w strukturze społecznej: przemieszczenie klasowe.

Już Balzac, korzystając z epoki porewolucyjnej i ponapoleońskiej przedstawił nam dole i niedole klas, i na takim tle rozgrywającą się a wieczną komedję ludzką, której siłą motoryczną, jeśli nie zawsze, to nazbyt wszakże często jest — egoizm.

W „Dziejach Salonu" Wroczyński przedstawił proces społeczny: tworzenie się nowej warstwy, nouveau-rich'ów, dochodzących do bogactw i wpływów. Pasorzyty ustroju kapitalistycznego, typy społecznie nieużyteczne, dla których wartość pracy zgoła nie jest podstawą egzystencji i jest całkowicie z nią niewspółmierna, podczas wojny przekształcają się, a właściwie zamieniają rolę.

Pani Łucja Marnicka, jak i jej famulus Mi-

http://rcin.org.pl

kiem zniszczyć w narodzie to poczucie, że on jest, w całości swojej, wartością duchową, mającą świadomość wspólnego celu, utrzymania i rozwoju bytu, spełnienia wyznaczonego mu posłannictwa. Dlatego też separatyzm, zupełnie nieznany za czasów wolnej Rzeczypospolitej, mógł się odezwać tak szybko w chwili odzyskania jej bytu niepodległego. Przyczynia się też do tego nowoczesna, więcej zdemokratyzowana struktura społeczna. Republika szlachecka, tak jednolita pod względem politycznym, społecznym i obyczajowym, opanowawszy swoim przemożnym wpływem wszystkie dziedziny życia, przyczyniała się niejako do ich zcementowania; inne warunki wytwarzają się obecnie w zróżniczkowanem klasowo państwie nowożytnem. Nie możemy też zapominać o różnorodności wpływów, jakie na społeczeństwo polskie działały. Tyle trosk przyczyniająca nam dzielnicowość obecna, jest chorobą, wybuchłą wskutek jadu, wsączanego wytrwale w nasz organizm od chwili rozbiorów. Faktycznie, to podzielono nas powtórnie za pomocą odrębnej administracji, przepisów prawnych i t. p. i to na znacznie więcej części odrębnych, niż te, które przedstawiają trzy zabory. Stworzenie Księstwa Kongresowego ze swoją daleko posuniętą autonomją, z wpływami prawodawstwa francuskiego, „odrąbanie" go tym sposobem od t. zw. „krajów zabranych", gdzie działały prawo i administracja rosyjska, już wytwarzało głębokie różnice psychologiczne.

Bo trudno sobie wyobrazić większej sprzeczności, jak system prawny francuski, oparty na zdobyczach wielkiej rewolucji i ustrój państwowo-społeczny Rosji z pierwszej połowy zeszłego wieku. Utrzymanie w b. Królestwie kodeksu Napoleona stało się silną barjerą od wpływów rusyfikacyjnych i nie pozwalało na zespolenie się z organizmem państwowym wielkiego Imperjum. Te różnice prawne jednak, które wyszły na dobre najliczniejszemu skupieniu polskiemu pod jednym względem, rozdzielały je od innych dzielnic, rządzonych innemi przepisami prawnemi i administracyjnymi. P. Bukowiecki uważa z wszelką słusznością, że właściwie ujarzmiona Polska dzieliła się na 4 różne zupełnie części, a nawet na więcej, jeżeli przyznamy, że oba Śląski ze swoim demokratycznym ustrojem rolniczo-robotniczym stanowiły jakby odrębną społeczną organizację. Właściwie najbliższemi sobie, pomimo pozornych różnic, wypływających z braku lub posiadania ustroju konstytucyjnego, były: b. Królestwo i Galicja. Nie rozłączyły ich nawet epoki ucisku, występujące w czasie różnym, z zupełną przeciwstawnością. Bo gdy po roku 1870 zaczęła się dla Galicji era autonomiczno - konstytucyjna, na Królestwo przypada czas najcięższych represji popowstaniowych. Toż Królestwo, przez swoje prawodawstwo, nie tracąc doszczętnie zachodniego typu państwowego, tem samem bliższem było Galicji, niż swoim dzielnicom wschodnio - kresowym, gdzie panował bezwzględny autokratyzm rosyjski. Inny definitywnie stosunek zachodzić musiał pomiędzy Zaborem pruskim a rosyjskim i austrjackim. W tym ostatnim wpływ różnonarodowej państwowości był minimalnym, gdy przeciwnie, jednolite państwo pruskie, ze swoją silnie skonstruowaną organizacją wewnętrzną, ze swoją konsekwentną wolą czynną, dążącą do upodobnienia sobie ludności polskiej, obejmowało ją ze wszystkich stron, wciskając się we wszystkie komórki jej życia. Nie potrafiło ono dopiąć swojego celu, przeciwnie, brutalnym naciskiem wywołało tem silniejszy odpór narodowy, ale może właśnie przez tę konieczność cichego ale wytrwałego oporu wytworzyło typ Polaka całkiem niemal różny od jego współplemieńców z innych dzielnic. Zanikły owe cechy, znamionujące nas, jak entuzjazm, zapał, temperamentowe a nie zawsze obliczone wybuchy, tak wspólne jeszcze w ruchach 1848 r. najżywszych i najgłębiej pojętych w swoich dążeniach demokratycznych, w Poznań-

---

chał Wycior, są typami społecznie nieużytecznemi. Ani dla niej ani dla niego praca nie jest sensem życia. Ona ma drobną rentę i nic pozatem nie robi, on nie posiada nic i też nic nie robi. Dla obojga sens życia streszcza się w próżniactwie, względnie w pewnem użyciu. Różnią ich tylko skale używania.

Wojna wyswobodziła w człowieku instynkty zwierzęce. W walce zwierzęcej o życie, zawsze zwyciężą silne muskuły, ostre pazury wilka, spryt lisa. Wilki zjadają i człowieka. Homo homini lupus. W walce instynktów zwycięża silniejszy, ginie słabszy. Dla tego zwyciężają Wyciory (ludzie-byki, ludzie-świnie, ludzie-lisy, ludzie-drewna, — wedle dawnej klasyfikacji W. Nałkowskiego), bo pokost kultury nie osłabił im pierwotnej siły instynktów. W stosunkach uproszczonego życia wojennego, pozbawionego hamulców moralności społecznej, umieją się rozpychać i wypychać. Są niesympatyczni, bo są trywjalni, wnoszą z sobą prymityw chamstwa. Takie wynosimy uczucia z „Dziejów Salonu". Ale są jeszcze inne, bardziej niepokojące a równie trafnie przez autora zaobserwowane i podkreślone objawy.

Wyciory wysuwają się na czoło społeczeństwa, nadają ton, rzucając, w łaskawości swej, ochłapy dobrodziejstw, z których skwapliwie korzystają ci, co wczoraj byli elitą.

Do interesów wyciorowych dostosowywują swój światopogląd i swą etykę oraz swe zwyczaje. Budzą litość ale czy budzą współczucie?

„Dzieje Salonu", dobra satyra obyczajowo - społeczna, grana jest z całem poczuciem aktorskiej odpowiedzialności. Co za kapitalne charakterystyki z obyczajowości współczesnej.

Rodzina Wyciorów (M. Frenkiel, W. Szymborska, M. Myszkiewicz), Fiutes (Gasiński) Zbigniew Baumkorn (Wł. Lenczewski), Żaneta (Jarszewska), Andrzej Moksza - Mokszeński (J. Chmieliński) są to typy aktualne, przez aktorów uchwycone wprost in flagranti.

* *
*

Ironista widzi głębiej, spostrzega w działalności ludzkiej i w duszy człowieka nieraz najbardziej istotne motywy i stosunki wewnętrzne z nich wynikające.

Ironja jest zawsze próbą dotarcia do istotnej powłoki duszy ludzkiej, jest odczynnikiem na zaśniedziałą skorupę duszy, po przez którą człowiek nic nie dojrzy. Dlatego cenię ironię i lubię ironistów. Obcowanie z niemi jest zawsze odświeżające, tak, jak odświeżającym jest prysznic.

http://rcin.org.pl

skiem, a powstały całe zastępy ludzi poważnych, niemal flegmatycznych, których cechą jest jednak pewna stanowczość i konsekwencja w działaniu. Mec. Bukowiecki, widząc w Wielkopolsce wiele objawów wyższości tak społecznej, jak ekonomicznej nad innemi dzielnicami, zaznacza, że ludność tamtejsza stworzyła wiele instytucji samoobronnych, w dziedzinie gospodarczej szczególnie, że posiada ona wyrobiony stan mieszczański, nie przemieszany tak silnie ludnością żydowską, jak w innych dzielnicach, nie wspomina jednak o tem, że urządzenie komunikacji, zdrowotne rozbudowanie miast, sprężysta i uczciwa administracja była dziełem rąk i myśli niemieckiej, i że to niedopuszczenie miejscowego polskiego żywiołu do twórczej pracy było dla niej największą krzywdą. I dziś, gdy zabrakło owego kierownika, i gdy ludność stanęła bezradna, tem silniej, kurczowo niemal trzyma się dawnych urządzeń, bojąc się, jak ognia, jakichś zmian, któreby ją do samodzielnych wysiłków pociągnęły. A jednak w tem „urządzonem" Poznańskiem jeszcze bardzo wiele rzeczy stworzyć będzie trzeba. Dość wspomnieć o zupełnie nie ruszonej dotąd glebie jakiejkolwiek samodzielności włościańskiej, co musi się odbić na samorządzie wiejskim, dotąd tam prawie nie znanym, jeżeli już poruszać nie mamy kwestji ludowych organizacji politycznych, których już przerost daje nam się we znaki i w b. Królestwie i w Małopolsce, a w Poznańskiem nieistniejących. Z tych więc i innych powodów, jak słusznie utrzymuje mec. Bukowiecki, o ile drobne różnice dzielnicowe pomiędzy innemi zaborami nie mają charakteru choroby społecznej i łatwo zażegnać się dadzą, objawy separatyzmu, dające się spostrzegać w Poznańskiem i na Pomorzu, budzić mogą najżywsze obawy. Dochodzi już do wytworzenia „sentymentu separatystycznego", a uczucie takie jest groźne, bo gdy raz utkwi w duszy ludności, już go żadnemi zarządzeniami usunąć nie będzie można. A jednak dzielnica ta musi wejść w sam środek państwa i o ile się to stanie rychlej, tem niebezpieczeństwo będzie mniejsze. Wielkopolska i Pomorze muszą zrozumieć, że wróg zaciekły i wytrwały czuwa u bram ich wolności, że śledzi za każdą powstałą w nich szczerbą, że korzysta z każdej waśni czy politycznej intrygi, a tylko Polska silna i zjednoczona ostać się wobec niego będzie mogła. I zdrowa myśl narodowo-państwowa musi tu zwyciężyć. Autor wskazuje następujące środki unifikacyjne, które rozpoczęte być muszą natychmiastowo. Przedewszystkiem należy rozpocząć kroki w celu przeprowadzenia unifikacji politycznej. Wszelkie półśrodki, jak najprzód Rady ludowe, potem Ministerja dzielnicowe, są opóźniającemi sprawę paljatywami. Równolegle z tem, prowadzić się winno dzieło ujednostajnienia prawa na wszystkich ziemiach polskich, podjęte przez państwową Komisję kodyfikacyjną, nietylko w dziedzinie prawa publicznego ale i prywatnego. Normy prawa cywilnego i handlowego, urządzenia notarjalne i hipoteczne, wkradają się najbardziej w powszednią treść życia każdego obywatela i nadają temu życiu właściwe zabarwienie. *Jak odrębność prawnopaństwowa była dawniej główną ostoją odrębności Kongresówki w stosunku do Rosji, tak i obecnie, w szczęśliwie odmienionych warunkach politycznych zespolenie życia pod tym względem będzie potężną dźwignią wewnętrznego życia Polski.*

Jest to jednak dopiero jedna strona zajmującego nas zagadnienia. Lwią część trudu zjednoczenia tak długo rozdzielonych dzielnic musi wziąć na siebie społeczeństwo, za pomocą swoich organów: zrzeszeń kulturalnych i ekonomicznych. Odbywają się wprawdzie zjazdy, na których przedstawicieli innych dzielnic wita się mniej lub więcej czułemi atokracjami, tu chodzi jednak jeszcze o coś więcej. W nas wszystkich, bez różnic terenu, tkwi jakieś specjalne przywiązanie do własnych poczynań, a pewien rodzaj

---

Człowiek się automatyzuje, ironista zaś wykoleja go, zmusza go do ponownego ustosunkowania się do tych samych zjawisk.

„Lenin" komedja jednoaktowa W. Grubińskiego, wystawiona w Teatrze Polskim, jest ironicznym ujęciem zagadnienia władzy i rządzenia w płaszczyźnie praktyki bolszewizmu.

Mundus vult decipi.... więc lud dostaje miraże, np. Wolność.

Dawniej nie miał wolności, teraz ma wolność... krzyczenia o wolności. Lenin krzyczy: niech żyje wolność! i lud krzyczy: niech żyje wolność! A gdy lud chce więcej, otrzymuje, owszem, salwę z karabinów maszynowych.

Inaczej wygląda idea w teorji, a inaczej w praktyce, dążenie do urzeczywistnienia ideału jest zgoła czemś innem niż samo urzeczywistnienie.

Ludzie walczą i giną za ideały (idola!) tak, jak Trojanie i Spartanie za piękną Helenę, bo piękna Helena jest *ideałem* piękności, o który walczą obie armje. Armja Pryama, żeby ideał zdobyć dla siebie, armja Parysa, by go dla siebie zatrzymać.

Ponieważ w ciągu dziesięcioletniej wojny piękna Helena podstarzała się i zbrzydła, rozczarowali się do niej zarówno Menelaus jak i Parys. Ale rozczarował się i jeden z wójów, który walczył, dla zdobycia ideału i umiera, przerażony tym, zoczywszy u kresu życia, *za co* walczył. A gdy przejrzy armja Menelausa, a gdy nietylko Parys się rozczaruje ale i jego armja, co będzie wtedy z mirażami Lenina?

Sens wewnętrzny sztuk Grubińskiego t. j. „Lenina" i „Pięknej Heleny" dwu jednoaktówek wystawionych razem w Teatrze Polskim wynika z maksymy łacińskiej. Mundus vult decipi.... ergo decipiatur. Dwie te komedje dopełniają się wzajem. Wiąże je jedna wspólna wewnętrzna tendencja zrodzona z uśmiechu ironisty. Władza jest jak kobieta. Chęć posiadania jej nazawsze prowadzi do rozczarowania. Bo władza brzydnie i starzeje się tak, jak brzydnie i starzeje się kobieta. Dla jednej i dla drugiej czas jest śmiertelnym wrogiem. A propos p. Wojciech Brydziński, który w „Leninie" gra rolę tytułową, coraz bardziej budzi podziw dla swego rozwoju artystycznego. Co za znakomite odtworzenie charakteru! Kto go widział np. w „Tajfunie" w „Twarzy i Masce" oraz w „Leninie", zrozumieć może na czem polega twórczość aktora.

Wł. Wolert.

http://rcin.org.pl

lekceważenia dla poczynań innych. Tę słabostkę trzeba wyrugować z głębi naszej psyche. Trzeba sprawić to, aby jednolitość życia polskiego zeszła z koturnów ogólno narodowego ideału, zastąpiła do życia powszedniego wszystkich obywateli. Bogaty też zakres pracy w tym kierunku przedstawia się dla naszych samorządów Po za kodeksem ogólnie obowiązującym, winny one ujednostajnić na cały obszar Rzeczypospolitej wszystkie odłamy bieżącej roboty prawodawczej. Ustawy drobne posiadają w szczególności charakter dzielnicowy. I tu, jak mówi p. Bukowiecki, niema tłomaczenia, że ze względu na tak długo trwającą obcą przynależność państwową tak się ułożyć musiało. Niewątpliwie łatwiej jest snuć dalej nić zadzierzgniętą przez rządy zaborcze, jak to już zresztą, co do Wielkopolski szczególniej, zaznaczyliśmy, niż ekspansować własną siłę twórczą; uchylać się nam jednak od tej pracy nie wolno. Wielką pomocą w dziele naszego zjednoczenia będą środki komunikacyjne. Muszą one być w ten sposób przeprowadzone, żeby nie upośledzały jednych dzielnic na rzecz drugich i tu doskonale w nie zaopatrzona Wielkopolska będzie musiała ustąpić pierwszeństwa pokrzywdzonemu b. Królestwu i kresom wschodnim.

Zjednoczenie jednak wszystkich dzielnic w jedną całość prawną, administracyjną, gospodarczą, społeczną i obyczajową, zjednoczenie narodu pod znakiem przywiązania nie do dzielnicy, lecz do całości Państwa i dbałości o jego przyszłość i dobro, nie oznacza jeszcze zupełnie centralizacji. Krańcowa centralizacja byłaby szkodliwą bezwzględnie, łamałaby inicjatywę miejscową i sprzyjałaby raczej separatyzmowi. Trzeba nam wszędzie budzić życie, a więc szeroki samorząd wojewódzki, powiatowy i gminny niech da pole do wypróbowania twórczej inicjatywy. Narody, które przebyły klęskę rozczłonkowania: jak Niemcy i Włochy, wyciągnęły z niej tę korzyść, że zdecentralizowały instytucje i ośrodki kulturalne i pozwoliły im promieniować na najszersze warstwy ludności. Niechże i Polska tę korzyść odniesie. Lwów, Kraków, Warszawa, Wilno, Poznań, Toruń, Cieszyn i jedno z miast, wybrane w tym celu, na Śląsku Górnym, niech staną się owemi centrami, których iskry „zestrzelą w jedno ognisko duchy“.

I. W. Kosmowska.

„Sprawa Oceanu Spokojnego”.

Inicjatywa prezydenta Hardinga, wysuwająca sprawę Oceanu Spokojnego, jest według słów znanego publicysty Simondsa. pierwszą samodzielną akcją Ameryki na widowni polityki światowej. Nawet udział jej w wojnie — wywodzi publicysta amerykański — nie miał tej samodzielności, gdyż nie wynikał z jej zamiarów, lecz był wywołany przez szaleństwo niemieckie. Obecna akcja polityczna rządu waszyngtońskiego, zrywająca z utopijnemi pomysłami Wilsona, jest głęboko amerykańska, wypływa ona z istotnych interesów Stanów Zjednoczonych, które są zagrożone stagnacją przemysłową i potrzebują nowych przestrzeni dla swej ekspansji ekonomicznej.

Głównym przedmiotem owej sprawy Oceanu Spokojnego jest Azja wschodnia, na którą Ameryka spogląda bacznym wzrokiem już od połowy zeszłego wieku. Wszak to przybycie jej eskadry w 1853 r. do Japonji było tym impulsem, który zbudził ze snu dziejowego synów Wschodzącego Słońca i stał się początkiem jej wielkiego ruchu reformistycznego.

Po wojnie chińsko-japońskiej, kiedy państwa europejskie rzuciły się na bezsilnego żółtego olbrzyma i zaczęły mu wydzierać „dzierżawy“ i „sfery wpływu“, Stany Zjednoczone nie wzięły udziału w tej grabieży i postawiły zasadę całości Chin i „drzwi otwartych“. Zajęły zresztą silny posterunek morski na wodach wschodnio-azjatyckich lecz nie kosztem Chin. Odniosły wtedy łatwe zwycięstwo w morskiej wojnie z Hiszpanją i odebrały jej prócz innych zdobyczy Filipiny, z których zrobiły bazę azjatycką dla swej floty wojennej.

Już wówczas Ameryka stawiała sobie za cel bynajmniej nie udział w rozbiorze Chin, lecz przeciwnie, nedopuszczenia do rozbioru i możliwie szeroką eksploatację rynku Chin oraz ich bogactw naturalnych. Polityka ta, znana pod mianem „drzwi otwartych“, podyktowana wymaganiami kapitału amerykańskiego, obracała się niewątpliwie na korzyść Chin, gdyż stawała na przeszkodzie próbom rozbiorów, zainicjowanych przez Niemcy i Rosję z udziałem Francji w 1898-ym roku.

Obecna polityka Hardinga idzie śladami republikańskich prezydentów Roosewelta i Tafta. Tylko rozmach jej jest o wiele potężniejszy. Postulaty pozostały w głównej treści te same, lecz dzisiaj żadne państwo nie ośmieli się ich ignorować.

W ciągu ostatniego ćwierćstulecia ze strony Europy i Japonji wiele zrobiono na szkodę proklamowanej przez Amerykę zasady całości i niepodległości Chin. Obecnie wszakże po pogromie Rosji i Niemiec Japonja jest tem państwem, które odziedziczyło ich „dzierżawy“ i wzmocniło jeszcze swą pozycję przez narzucenie rządowi chińskiemu nowego traktatu w 1915 r., zapewniającego żółtym wyspiarzom znaczne przywileje. Jakkolwiek więc rząd waszyngtoński stawia swą zasadę ogólnie, w obecnych konkretnych warunkach zwraca się ona niemal wyłącznie przeciw Japonji. Zachodzi bowiem wielkie prawdopodobieństwo, że wpływ japoński, opierając się na zdobytych placówkach terytorjalnych, na sile militarnej i politycznej, zdoła o wiele skuteczniej walczyć z kapitałem amerykańskim, niż by do tego był zdolny sam tylko kapitał japoński.

To też dzienniki amerykańskie, które przed konferencją prowadziły kampanję przeciw swym żółtym rywalom, domagały się poprostu, iżby Japonja zwróciła swe „dzierżawy“ i okupowane posterunki, iżby wycofała swe wojska z Chin i zadowolniła się na przyszłość udziałem w ich życiu ekonomicznem na równych prawach z innemi narodami.

Tylko daleko idące żądania oczywiście nie były do przeprowadzenia. Japonja niezawodnie odrzuciłaby je i oparłaby się ich przeprowadzeniu nawet zbrojną reką. Mogłaby się zresztą powołać na traktaty koalicyjne, które jej stan posiada-

http://rcin.org.pl

nia uprawniały. Jeszcze silniejszym argumentem był traktat zawarty podczas wojny w 1917 r. z samą Ameryką, z rządem Wilsona, który uznaje specjalne prawa Japonji w sąsiednich prowincjach Chin.

Rząd waszyngtoński, który zwołał konferencję pod znakiem gałązki oliwnej, nie mógł stawiać na niej zbyt bezwzględnych, zbyt wyzywających żądań. Nie mógł się domagać odrobienia tego, co zaszło na gruncie chińskim od lat dwudziestu pięciu. Zresztą rezolucja, którą w imieniu zaproszonych państw powzięła komisja konferencji, nader stanowczo wyraża zasadniczy postulat polityki amerykańskiej.

Rezolucja ta, która ma odtąd stanowić obowiązującą zasadę, obiecuje:

1) szanować suwerenność, niezawisłość, nietykalność terytorjalną i administracyjną Chin,

2) dać Chinom możność i swobodę rozwoju oraz utworzenia silnego i samodzielnego rządu.

3) użyć swego wpływu, aby zasady rozwoju przemysłu i handlu dla wszystkich narodów były zabezpieczone na całem terytorjum Chin,

4) nie wyciągać z obecnej sytuacji żadnych korzyści ani domagać się specjalnych praw i przywilejów...

W postanowieniu konferencji niema więc mowy o jakiejś restytucji na rzecz Chin — wystawiono wszakże zbiorowe zobowiązanie, które ma je zabezpieczyć przed dalszemi wymuszeniami, przed aktami gwałtu i samowoli z którejkolwiek strony. Japonja, które w tym wypadku miała najwięcej powodów do obawy i najwięcej do stracenia, może się czuć zadowoloną z kompromisu, który prawie nie uszczuplił jej wyjątkowej pozycji na gruncie chińskim. Inna rzecz, czy kompromis ów ma jakiekolwiek widoki trwałości i czy już jutro nie okaże się domkiem z kart.

Do sprawy Oceanu Spokojnego należy jeszcze Wschodnia Syberja. I nią interesuje się Ameryka nie od dzisiaj, lecz za istnienia potężnego caratu, choć nawet wstrząśniętego po wojnie z Japonją, Yankesi traktowali ją wyłącznie z punktu widzenia interesów handlowych i eksploatacji ekonomicznej. Obecnie ta rozległa kraina, pełna bogactw naturalnych, staje się w pewnym sensie *res nulius*, a w każdym razie mającą zagadkowego właściciela.

W ostatnich latach podczas chaosu bolszewickiego Japonja opanowała pewne ważne punkty, jak Władywostok, Nikołajewsk, północną połowę Sachalinu, nadto rozciągnęła niejaką kontrolę nad całem wybrzeżem wschodnio-syberyjskiem. Urzędowo nie rości do tych terenów żadnych pretensji i oznajmia, że je zajmuje czasowo w interesie spokoju i bezpieczeństwa ludności oraz swych własnych posiadłości.

Wszakże podobne oświadczenia nie mogą zadowolnić opinji amerykańskiej, która dobrze rozumie, że pod powyższem pretekstem oddziały japońskie mogą pozostać w ważnych punktach wybrzeża przez czas nieokreślony, że mogą nawet przy dalszych sprzyjających okolicznościach odgrodzić Syberję od morza i zrobić z niej teren dla *pénétration pacyfique* poddanych mikada. Na ...odobnego Ameryka rzecz prosta nie może ..., i musi patrzeć z wielką podejrzliwością ...ujące oddziały japońskie.

W tej kwestji Japonja nie ma za sobą żadnych umów ani uprawnień, lecz powołuje się na działalność bolszewików, na widoczny fakt zamętu, jaki szkodzi bezpośrednio jej interesom. W ostatnich czasach wysunięto z jej strony nieurzędownie argumenty, że gdyby Japonja nie pilnowała wybrzeża, mogłaby się doczekać ze strony bolszewików uzbrojenia i wysłania floty korsarskiej na połów jej statków handlowych. Chyba Ameryka nie zechce dać gwarancji, że bolszewicy nie wykroczą przeciw poprawności międzynarodowej.

Trudności i głębokie sprzeczności, w które obfituje sprawa Oceanu Spokojnego, nastręczają aż nadto wątpliwości co do wyniku konferencji. Coraz widoczniejszem się staje, że konferencja wcale tej sprawy nie rozstrzygnie, lecz tylko ją stawia jako wytyczną polityki amerykańskiej. Antagonizm z Japonją nie zostaje przez nią zlikwidowany, lecz tylko chwilowo załatany.

Zarysowuje się stąd cały szereg doniosłych następstw dla polityki międzynarodowej, które pociągają inne ugrupowania mocarstwowe na widowni światowej i europejskiej.

T. Z.

W sprawie stosunków z Sowietami.

Ukazał się w odbitce „*List otwarty do p. Antoniego Ponikowskiego, prezydenta ministrów Rzeczypospolitej Polskiej w sprawie wykonania ryskiego traktatu pokojowego*". List ten podpisany przez przedstawicieli polskich organizacji kresowych pp.: Ign. Porębskiego, Mirosława Obiezierskiego, Aleksandra Russanowskiego, Gustawa Ostrowskiego i Tytusa Ponikwickiego, zawiera ostrą krytykę polityki naszej wobec Sowietów.

Najwięcej dostaje się p. Dąbskiemu. Zarzucają mu autorzy listu, że „nie znając ani Rosji, ani jej języka, ani jej psychologji, nie orjentujący się kompletnie w ideologji bolszewików i metodach ich akcji, zupełnie nieuświadomiony w sprawach polskiego wschodu, całem swem postępowaniem dał niejednokrotnie dowody, że lekceważy warunki pokoju, dążąc tylko za wszelką cenę do podpisania traktatu".

Wykazawszy szereg błędów, popełnionych przez dyplomację polską, która nie potrafiła wyzyskać zwycięstwa oręża polskiego, autorzy listu tak charakteryzują następstwa polityki ustępliwości:

„Tysiące rozstrzelanych już po traktacie ryskim Polaków w Rosji; dziesiątki tysięcy braci naszych, umierających w więzieniach i czerezwyczajkach; całe gminy ludności, prześladowanej za opcję na rzecz Polski; jeńcy i reemigranci polscy, nie mogący wyjednać i doczekać się prawa powrotu do kraju, gdy tymczasem setki tysięcy obcych zalewają Polskę pod mianem reemigrantów; majątek narodowy polski na kresach oddany na żer obcych przybyszów, powołanych przez Sowiety dla przekreślenia polskości i wznowienia rosyjskości tych ziem; odkładana ad infinitum reewakuacja z Rosji polskich zabytków i mienia ruchomego, skwapliwie ukrywanego przez bolszewików po całej Rosji; trzy niedotrzymane przez bolszewików terminy wypłaty złota i odszkodowań za tabory — oto rezultat pokojowej pracy czynników, które uważały za niedopuszczalne, ze względu na opinję międzynarodową, żądać od Sowietów ja-

http://rcin.org.pl

kichkolwiek bądź gwarancji wykonania przez nich zobowiązań ryskich".

Dalej list twierdzi, że błędem jednakże byłoby mniemanie, że cała odpowiedzialność za fatalne skutki dla Polski traktatu ryskiego — obciąża tylko jego autorów polskich. „Musimy stwierdzić, że spada ona również na wykonawców traktatu. Ci jednak pozostają pod tak silnym wpływem tych samych czynników, które wszechwładnie kierowały delegacją polską w Rydze, że niepodobna traktować ich roboty inaczej, jak ciąg dalszy ryskich planów, metod i taktyki.

Opanowawszy niepodzielnie p. Dąbskiego i ująwszy przez swe wpływy faktyczny kierunek całej sprawy, czynniki te potrafiły sugestjonować p. Dąbskiego i jego otoczenie przeświadczeniem, że traktat ryski nie jest bynajmniej kresem ustępstw polskich na rzecz Rosji.

„Cierpliwość, wyrozumiałość i zimna krew" w stosunkach z bolszewika stały się hasłem oficjalnej polityki polskiej w stosunku do sowietów, — hasłem proklamowanem bez osłonek i liści figowych. ad majorem gloriam polskiej dyplomacji.

Z „cierpliwością" przygląda się zespół, wykonywujący traktat ryski, zalewowi Polski przez obce nam żywioły, importujące bibułę komunistyczną, propagujące komunizm i aranżujące zjazdy i pochody bolszewickie po miastach i wsiach polskich.

Z „wyrozumiałością" dla dziwnie harmonizujących ze sobą interesów proletarjatu rosyjskiego i międzynarodowego kapitału te same czynniki sankcjonują koncesje na operacje handlowo-wywozowe z Polski, do Bolszewji, dokonywane pomimo braku traktatu handlowego z Rosją, poza plecami sejmu, z jawną krzywdą polskiego robotnika, który dzięki tym operacjom handlowym, nie jest w stanie doczekać się spadku drożyzny, pomimo polepszenia się marki polskiej".

Kończy się list następującym oświadczeniem:

„Jesteśmy przeciwnikami nowej wojny polsko-rosyjskiej i wiemy, że zdrowa większość narodu naszego nie pragnie rządów komunistycznych i dlatego też zwracamy się do Pana, Panie Prezydencie Ministrów, z ostrzeżeniem: Polsce niewolno dalej tolerować bolszewickiej metody zwalczania przyjętych w Rydze zobowiązań przez nieustanne ignorowanie polskich postulatów. Musi być raz nareszcie w stosunku do bolszewików wzięty właściwy ton, odpowiadający powadze naszego państwa i zwartości jego narodowej mocy. W tym celu muszą być jednocześnie z dymisjonowanym p. Dąbskim usunięte od wpływów na wykonanie traktatu ryskiego, wszystkie czynniki, które tak fatalnie wpływały na ułożenie traktatu, a obecnie w dalszym ciągu na jego wykonanie. Sprawa musi być oddaną w ręce mocne, znające przeciwnika, i umiejące traktować go w sposób mu właściwy. Obok czynników rządu do współpracy muszą być powołani przedstawiciele społeczeństwa, świadomi interesów polskich w Rosji i umiejący ich bronić".

Prof. Józef Strzygowski i jego Instytut historji sztuki.

W ostatnich kilku miesiącach niejednokrotnie spotykałem na szpaltach prasy warszawskiej wzmianki o prof. Józefie Strzygowskim, donoszące o zamierzonem przybyciu jego do Polski dla utworzenia nowej placówki naukowej. Ponieważ nazwisko to nie jest tak znane polskiej publiczności, jak być powinno, gdyż prace znakomitego uczonego Polaka drukowane były przeważnie w języku niemieckim[1]), bardzo na czasie będzie zestawić nieco wiadomości o tym uczonym oraz o warsztacie jego pracy: Instytucje historji sztuki w Wiedniu. Dzięki bowiem wyjątkowej uprzejmości prof. Strzygowskiego, miałem możność obejrzenia zbiorów Instytutu i zapoznania się z celem oraz metodą pracy, podczas mego pobytu w celach naukowych w Wiedniu w roku bieżącym.

Dorobek piśmienniczy tego znakomitego uczonego jest olbrzymi. Kilkadziesiąt prac podstawowych i monumentalnych z zakresu wydania źródeł i ich interpretacji oraz pięknych studjów i rozpraw badawczych, kilkaset pomniejszych artykułów i recenzji.

W roku 1887 wydaje „Osiem rysunków Sandro Botticellego" do Dantego Boskiej Komedji w Warszawie; 1888: „Cimabue i Rzym"; 1891—studja nad Michałem Aniołem; 1895: „Sztuka Wenecka"; 1896: „Leonardo da Vinci"; 1898: „Rafael i Correggio"; 1901 —„Dürer"; i jednocześnie „Wschód i Rzym"; 1902: „Studja nad malarstwem w. 16 Azja Mniejsza"; 1903: „Początki sztuki „romańskiej" i „Sztuka koptyjska" oraz „Pomniki bizantyjskie", „Podstawy chrześcijańskiej sztuki kościelnej" i t. d. i t. d. Minjatury serbskich psalterzy i minjatury armeńskie, budownictwo armeńskie i europejskie (1918) Iran, i „wędrówki ludów", sztuka kościelna wczesnego chrystjanizmu, buddaizm, mahometanizm—wszystko to stanowi przedmiot zainteresowań Strzygowskiego.

Zacytowałem drobną cząstkę prac Strzygowskiego, ale już z tego zestawienia widać najwyraźniej, jaka jest metoda i cel jego prac. Chodzi mu o równomierne i wyczerpujące opracowanie zabytków sztuki w całości — zarówno w Europie, jak i w Azji, tam wszędzie, gdzie tylko człowiek doszedł do poziomu, na którym była możliwa twórczość artystyczna. Sztukę europejską Strzygowski bada w związku ze sztuką wschodnią i dochodzi tą drogą do imponujących rezultatów, które i nasze społeczeństwo będzie mogło poznać, jeśli zamierzony przekład „Początków chrześcijańskiej sztuki kościelnej" istotnie dojdzie do skutku. Oddzielnie zresztą należałoby przedstawić najważniejsze zdobycze naukowe Strzygowskiego. Tu jeszcze raz zaznaczę, że wszystkie one sprawiają, iż — jak to sam Strzygowski w jednej z rozmów ze mną, tyczących się metody historji sztuki, powiedział—„zbliżamy się do czasu, kiedy twórczość artystyczna ludzkości będzie traktowana jako „całość, jako nieskończone przemiany tych samych sił intelektualnych i socjalnych". W tem znaczeniu Strzygowski odbiegł bardzo daleko od innych badaczów historji sztuki (nawet od Wörmanna, który zresztą w swojem drugiem wydaniu „Historji sztuki wszystkich czasów i ludów" znacznie się zbliżył do stanowiska Strzygowskiego) i nie

[1]) Dopiero ostatnio znana już ze swej działalności prowincjonalna księgarnia nakładowa Zygmunta Pomarańskiego w Zamościu przystąpiła do wydawania prac prof. Strzygowskiego po polsku. W przygotowaniu znajduje się już kilka rzeczy.

http://rcin.org.pl

dziw, że Francuzi i zwłaszcza Anglicy nazywają go „założycielem historji sztuki".

W jaki sposób Strzygowski dąży do realizacji swego programu?

Na „Ringu 12 listopada" w Wiedniu, na wprost Uniwersytetu, znajduje się Instytut historji sztuki, obejmujący zaledwie jedno piętro. Stąd Strzygowski (kierownik zakładu) i jego asystencji urządzali (oczywiście przed wojną) ekspedycje do Azji (Azja Mniejsza, Kan, Turkiestan, Indje i dalej), przywożąc potem olbrzymi materjał fotograficzny, stanowiący podstawę dalszych badań porównawczych. W kilku większych salach, przepełnionych półkami z teczkami, zawierającemi powyższe zbiory, pracuje pilnie grono uczniów i współtowarzyszy Strzygowskiego, składając powoli cegiełki na budowę gmachu, który ma obejść „całą ludzkość".

Organizacja Instytutu jest dość prosta.[1] Składa się on z trzech głównych działów: 1. historycznego, 2. systematycznego i 3. t. zw. nauk granicznych.

Dział historyczny obejmuje 5 grup terytorjalnych: a) Austrja (raczej Wiedeń), b) Europa Zachodnia, c) Europa Wschodnia (t. j. właściwe terytorjum kościoła greckiego), przyczem sztuka bizantyjska zajmuje miejsce centralne; włączono tu jednak zabytki z okresu wędrówek ludów, które — jak sam Strzygowski w swych pracach wykazał—znajdowały się pod bardzo silnym wpływem Wschodu; wskutek tego zaliczono do tej grupy Europę zachodnią aż do połowy w. 12; d) Azja Zachodnia (Azja Mniejsza, Armenja, Mezopotamja, Persja, Syrja, Egipt, Afryka Północna); e) Azja Wschodnia (Indje, Azja Środkowa, Chiny, Japonja).

Dział systematyczny stanowi właściwe jądro Instytutu, gdyż tu rozpoczyna się praca, mająca realizować program Strzygowskiego. Dzieli się również na 5 grup: a) materjał i technika, b) przedmiot, c) kształt, d) forma i e) treść. Podstawą tego podziału jest schemat jakościowy.

Dział nauk granicznych ma utrzymywać historję sztuki w ścisłym kontakcie z ogólną historją kultury. Należy tu przedewszystkiem antropogeografja i socjologja, również i psychologja.

Oto cała organizacja Instytutu. Ma on charakter wybitnie międzynarodowy — jak zresztą i sam jego dostojny twórca, którego dotychczasowa praca życia, niestety—prowadzona na obczyźnie, należy do ogólnoludzkiego panteonu wiedzy. Co do Polski—to znalazła ona miejsce częściowo w dziale historycznym, częściowo w systematycznym. Sam Strzygowski nie badał specjalnie naszej sztuki, choć widzi w niej ważny materjał dla swych badań (Zachód – Wschód). Nie wątpię, że zapozna się z nim bliżej, jeśli wspomniane na początku wzmianki prasy warszawskiej wyprorokują pomyślnie—i prof. Strzygowski znajdzie się wraz ze swym Instytutem na ziemi polskiej.

Dr. Stanisław Arnold.

[1]) Instytut założony w r. 1910 przez Strzygowskiego; większa część materjałów jest jego prywatną własnością.

Z „popełnionych omyłek".

Nie zanucę ci...

Nie zanucę ci więcej niebacznej piosenki,
ani poślę uśmiechu, ani kwietnych darów,
bo skarżyłby się nocą cichy leśny parów
i słowik żałośniejsze rozsiewałby dźwięki...

Chociaż wiosna minęła, jak we mgłach żaglowiec,
i nadciągnął leniwy a upalny lipiec, —
nie oddałbym za żadne skarby moich skrzypiec,
bo cóżby mnie czekało, — powiedz sama, powiedz...

I dlatego nie żądaj odemnie tych wieści,
które chybka ci fala z głębiny przyniesie,
a obłoki płynące po niebios bezkresie,
same utkają przędzę zasłyszanej treści...

Tęsknota.

Wiele godzin szczęśliwych na moim zegarze
uczyło mnie uśmiechów słonecznej pogody,—
kochać ciszę, zbłądziwszy w kwietne wirydarze,
i podziwiać, jak błyszczą pośród mchu jagody.

Z okien chaty samotnej, krytej płową słomą,
pacholęcą modlitwą witałem poranek,
i dymy, co nad siołem wiszą nieruchomo,
i stada nad szuwarem ciągnących cyranek.

Pokochałem na skraju rozłożyste jodły,
bo śpiewały tajemnic przecudną muzyką:
to płakały tęsknotą, to szeptały modły,
to rozpaczą szalały stepową i dziką.

Pokochałem i wierzby schylone nad wodą,
co — jak krępe dziewuchy — piosenkami dzwonią...
O, dziecięce wspomnienia! O, dziadów zagrodo,
otoczona, jak wyspa, łąk szumiących wonią.

Przeszły lata... Spoglądam na szarzyznę domów,
na mur cegłą świecący, z której tynk opada,—
i, stęskniony do wirchów, łąk i górskich złomów,
pragnąłbym choć usłyszeć, jak szumi kaskada...

Bo wiele jasnych godzin na moim zegarze
uczyło mnie uśmiechów słonecznej pogody,—
kochać ciszę, zbłądziwszy w kwietne wirydarze,
i podziwem pozdrawiać pośród mchu jagody...

http://rcin.org.pl

Towarzyszka.

O, ścieżko moja, wąska i daleka!
Pożółkłe liście płaczą pod stopami...
Któż wie, czy czujna nie zadrży powieka,
i nie powita słońca łez perłami!?

Idę... wiatr ranny szepce mi do uszu:
zgubisz wędrowcze pośród dnia swą drogę...
Szlochają liście i na czoło proszą
ulewą złotą, budząc w sercu trwogę...

O, ścieżko moja! wijesz się wśród lasów, —
przez góry, pola idziesz, jak wędrowiec, —
lecz, gdy zabraknie mnie, syna parjasów, —
kto będzie deptał po tobie, odpowiedz?!

Narcyz.

Wysmukły, biały Narcyz, — w paryjskim
[mormurze —
zda się—ciosany lekką i wytworną dłonią, —
na liljowym szmaragdzie traw—nad wodną
[tonią —
stanął i ujrzał siebie w jeziora lazurze.

O. miłości! Ponsowe nierozkwitłe róże
nad wód taflą swe czoła oniemiałe kłonią,
białe lilje złotemi pylnikami dzwonią,
duszących nenufarów dymią wonne kruże.

Cisza... Chwila za chwilą mija oniemiale...
Całunki śląc wgłąb wody Narcyz się kołysze —
słodyczą boskich dreszczów spragniona pierś
[dysze,
na modre oczy spadną rozkoszy woale...

. . . .

...i tylko niewiadomo, czy w tę głuchą ciszę
Narcyz szepce zwierzenia, czy pluskają fale...

Edward Kozikowski.

Wieczór poetycki.

Dnia 3 b. m. urządziła grupa parnasistów, skupiających się koło czasopisma *Skamander*, wieczór poetycki. Wzorem dawnych minstreli, twórców i wykonawców zarazem, – idzie garsteczka młodzi bezpośrednio przed gości i to, co uprzędła na kołowrotku muzy w chwilach natchnień i skupienia duchowego, rozwija wobec publiczności, jednak już nie tej stylowej, złożonej z rycerzy wsławionych przygodami i dam utrefionych, rozbawionych turniejem, miłością, tańcem i oczami kochanków, spoglądającemi z poza przyłbicy... Średniowieczny trubadur, ministrel czy „Minnesänger" byli heroldami uczuć sercowych, ballady, byli czasem echem romantycznych i brawurowych przygód rycerza — rabusia, Skamandrowcy wysuwają natomiast tematy zawilsze, odgrzebują rozmaite rodzaje ludzkich odczuć, sięgają nawet w głębie refleksji, współzawodniczącej z myślą Wirgiljusza lub Dantego, mają na swoich strunach liryzm i filozofję i najosobistrze szarpania: Aby jednak z tem wszystkiem trafić do umysłów, aby tkance rymowanej nadać zewnętrzną ekspresję, aby ją przenieść i wydrzeć z ram karty drukowanej i rzucić na falę żywego słowa, nie wystarcza bynajmniej samo napięcie poetyckie,—trzeba tu czegoś więcej: sztuki wygłaszania, techniki deklamacyjnej i mocy nadania wizji poetyckiej plastyki odtwórczej. Niestety, sobotni wieczór udokumentował, że nie dość iść wprost między ludzi i być mównicą własną, albo trzeba umieć iść. A na to zupełnie naturalnie i zrozumiale grupa zdobyć się nie potrafi, nie może tworzyć i zarazem odtwarzać. To też pp. Słonimski, Lechoń, Tuwim, Wierzyński, Rytoerd i t. d. ścierali urok z własnej pracy zduszoną, stremowaną deklamacją, odrywali najpiękniejsze sztukaterje z pałacu swej sztuki. W akcentach ich monotonnej deklamacji ginęło całe piękno, rozpraszało się gdzieś w mgławicy słabego głosu lub więzło w gardle — natomiast zostawał na estradzie poeta, jakby dla pokazania się przed ciżbą ludzką i zgarnięcia banalnego poklasku! Dopiero, gdy pani Marja Morska z zawodu i daru Bożego artystka wystąpiła i zadeklamowała, odczuwało się natychmiast, ile jest subtelnej figlarności w wierszyku o pannie Linie. ile mocy w tłómaczeniu Słonimskiego „Madonny" z Baudelaire'a, ile sprawiedliwego i psychologicznie głębokiego krzyku w prześlicznej „Modlitwie" Lechonia, w błaganiu „Oswobódź nas od duszy i wybaw od siebie!"... Wizyjnym naprawdę i na wskroś przejmującym poemacikiem Lechonia p. t. „Mochnacki" zakończyła Morska interesujący wieczór, na który złożyły się utwory bądź drukowane w „Skamandrze", bądź jeszcze nie ogłoszone. Z całego przeglądu wygłoszonych wierszy odnosiło się wrażenie, — że talenty tych młodych ludzi nie dadzą się podciągnąć pod jeden program i jedną rubrykę,—że nie dadzą się umieścić wspólnie pod bojowem hasłem Tuwima:

Świat gryziemy w ustach, jak czereśnie
Jak dwadzieścia wiśni jednocześnie.
Ciała, cieczą i miazgą napęczniałe
Wystawiamy pod żądła wspaniałe.
I nabici tym soczystym miąższem
Szalejemy od złotych ukąszeń.

Nie, stokroć nie! „Skamander" — skoro tak grupie nazwać się podobało, — jest tylko przypadkową mozaiką: od Lechonia czy Wierzyńskiego, do Tuwima czy Słonimskiego okropnie daleka droga. Można mówić o wspólności koleżeństwa — nie dusz. Tak czy siak, bije tu i owdzie nuta kryształowa czystego talentu—i ona zgłusza wiele falsetów sztuczności, jak n. p. w zaprodukowanych na wieczorze fragmentach p. Przysieckiego. Gdyby te talenty schroniły się jeszcze w ciszę i odbiegły od hałasu, od pewnych reklamowych przynęt, dojrzałyby w niej łacniej i spoczęłyby wtenczas na zboczach naszego helikonu, jako pełne krasy umajone kwiaty.

Wl. Koszyc.

http://rcin.org.pl

Piotr Maszyński.

Lutnia Warszawska obchodzić będzie swój 25-letni jubileusz. Narodziny swoje i rozkwit zawdzięcza Lutnia Piotrowi Maszyńskiemu, który przez skromność nie chce łączyć swego imienia z uroczystym obchodem jubileuszowym Lutni. Ale twórczość tego artysty-pieśniarza jest tak nieodłączną od rozwoju chórów w Lutni Warszawskiej, że odłączyć od tego obchodu jubileuszowego imię Piotra Maszyńskiego jest nie do urzeczywistnienia. Przeciwnie, społeczeństwo polskie powinno sobie dobrze uświadomić, że sztuka chóralnego śpiewu w Warszawie dopiero przy P. Maszyńskim zajęła poczytne miejsce wśród muzyki innych typów i stanęła na wysokości zadania, znalazłszy w swoim organizatorze nietylko gorliwego orędownika, ale i kompozytora. Piotr Maszyński wydał zbiory chóralne. Sumiennie pracował nad układami tych zbiorów i nad tłómaczeniami tekstów, które przez odzyskanie formy czystej i artystycznej zatraciły swoją dawną trywijalność i cieszą się wielkiem powodzeniem i uznaniem. Jako kompozytor - wokalista, Piotr Maszyński obrał sobie za główną formę wyrażania się pieśń solową i chóralną. Wszystkie jego pieśni w całości tworzą nieposzlakowany obraz polskich tradycji, obyczajów i przyrody kraju w jej najdrobniejszych przejawach. Charakter i melodja tych pieśni jest prostą, pogodną, owianą liryzmem smętnym, lub też weselem niezmąconem—jednem słowem, jest to nasza prawdziwie polska pieśń, z której wynurza się zorza wiekuistego poranku i poezja bezkrytycznej i głębokiej religijności. Twórczość Piotra Maszyńskiego znakomicie dostraja się do twórczości Marji Konopnickiej, przez co stwarza się jednolitość nastroju i plastyczna obrazowość poruszanych tematów. Prawdziwy czar wieje ze swojskich melodji zbiornika „Nowego Latka", wśród których najładniejszemi są: Sanna, Choinka, Kolęda, Wiosenka, W palmową niedzielę, Pan Jezus i kwiaty, W pasiece, Żórawie! Przed wyobraźnią słuchacza przesuwa się życie wsi polskiej i przyrody polskiej podczas tych pór roku. Melodja jest niewymyślną, lecz tak barwną i pociągającą, że chciałoby się pójść do boru i posłuchać, jak się rozszumiał, rozhoworzył czarny bór z wieczora, skąd „idą, idą świerki młode do białego dworu", albo zobaczyć, jak to we wsi polskiej: „nasza zima białą chustą się odziała, idzie, idzie w goście do nas w srebrnych blaskach cała". Lub na Boże Narodzenie oczekiwać we dworze polskim kolędników z gwiazdą trzechkrólową, „a ta gwiazda szła zdaleka, ścieżynką po niebie, pamiętała, że ją czeka ziemia ta w potrzebie". A co za radość i wiele nadziei spływa z tonów muzycznych na przybycie wiosny: „a kiedy z śniegów taje kraj, kiedy się budzą kwiaty, na całe niebo, na cały raj, brzmi ptaszął chór skrzydlaty".

Zbiornik „Nowe Latko" powinien być w każdym domu polskim, gdzie jest młodzież, gdyż nic tak nie budzi piękna w duszach młodych, jak te nasze czarowne pieśni polskie. Piotr Maszyński napisał oprócz „Nowego Latka" dużo pieśni solowych, z których na szczególną uwagę zasługuje „Dunajec" i „Pieśń Majumy"; duetów, tercetów, chórów. Kantatę „Sienkiewiczowską", wykonaną w Warszawie, Krakowie, Siedlcach, Smoleńsku i Petersburgu; kantatę „Szopenowską" w Chicago, utwór „Cyganie" na tenor, chór i orkiestrę i sporo utworów instrumentalnych i na fortepian. Wielką zasługą P. Maszyńskiego jest stworzenie „szkoły chórów", „śpiewników szkolnych i ćwiczeń". Ogół polski jest naogół bardzo niemuzykalny, nie interesuje się pieśnią polską, a nasza młodzież pod względem muzycznym była bardziej zaniedbaną od młodzieży w innych krajach. Dlatego też należy się Piotrowi Maszyńskiemu od nas wdzięczność i uznanie za pracę, która przyczyniła się do rozwoju muzycznego naszego przyszłego pokolenia. A jubileusz Lutni społeczeństwo polskie będzie uważać za dzień, w którym może wyrazić swój hołd i podziękowanie niestrudzonemu siewcy pieśni polskiej.

Ewa Serednicka-Oleskowska.

Piśmiennictwo polskie.

Jachimecki Zdzisław. Stanisław Moniuszko. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Wybitny historyk muzyki, profesor uniwersytetu Zdzisław Jachimecki, przysporzył naszej fachowej literaturze doskonałą książkę o twórcy „Halki". Zapełniła się w ten sposób zawstydzająca i dotkliwa luka w swojskiem piśmiennictwie, urzeczywistniła się nagląca konieczność, co prawda dopiero w blisko pięćdziesiąt lat po śmierci wielkiego pieśniarza. Bo ani broszurka przyjaciela zgasłego kompozytora Aleksandra Walickiego, a tem bardziej monstrualna poniekąd praca Bolesława Wilczyńskiego,—i mało metodyczna Polińskiego nie złożyły się na uwydatnienie wartości Moniuszkowskich. Autor położył główny nacisk na omówienie dzieł Moniuszki pod względem stylu muzycznego, nie zapuszczając się w szczegółową analizę 260 utworów, pozostałych w spuściźnie po mistrzu. Dzieło zdobi cynkotyp Moniuszki podług podobizny z czasów powstania „Halki" i urywki przykładowe z nut. Podkreślając całą zasługę wydawców w ogłoszeniu istotnie cennego dzieła, wypada jednak zaznaczyć, — że wartość zewnętrzna książki wzrosłaby silnie, gdyby znalazły się na jej kartach reprodukcje z licznego, obrazkowego a odnoszącego się do życia kompozytora materjału, spoczywającego w sekcji im. Moniuszki przy Towarzystwie Muzycznem w Warszawie.

Reformacja w Polsce. Organ Towarzystwa do badania dziejów reformacji w Polsce. Pod redakcją Stanisława Kota, prof. uniw. Jagielońskiego. Rocznik I-szy. Nr. 1—2.

Ukonstytuowane w kwietniu 1920 r. „Towarzystwo do badania dziejów reformacji w Polsce" oddaje społeczeństwu i nauce naszej zupełnie wyjątkową i niepoślednią przysługę przez uruchomienie kwartalnika „Reformacja w Polsce". Już sam fakt, że cudzoziemcy uprzedzili Polaków w badaniu rozwoju wśród nich reformacji — jak słusznie podniósł w imieniu inicjatorów Towarzystwa p. Jakób Glass—było dostatecznym powodem palącej konieczności powołania do życia organu, któryby z materjałów już

http://rcin.org.pl

ujawnionych i ujawnić dopiero mających się wysnuł właściwe wnioski naukowe, a nie dowolne i często fantastyczne, rzucane z warsztatów obcych skutkiem nieznajomości polskiego języka i stosunków. Aczkolwiek zamierzenie trzymane jest i będzie w ramach najczystszej wiedzy i jej grubą ścianą odgranicza się od zagadnień spółczesnej polityki, wszelako nauka przyczyni się do wyświetlenia, że „protestantyzm w przeszłości ściśle łączył się z polskością, a tem samem może z nią łączyć się i w teraźniejszości".—W pierwszym rzędzie zamyślają wydawcy ogłosić korespondencję Melanchtona z Polakami, zbiory pieśni i kancjonałów, zasadniczych konfesji, katechizmów, aktów synodalnych i t. d. W znakomitym wstępie: „O różnowierstwie polskiem słów kilka" zakreśla poniekąd prof. Aleksander Brückner łuki olbrzymiego sklepienia, które ma wchłonąć przyszłe prace. Niesłychana wprost erudycja łączy się w wywodach świetnego badacza z szerokością horyzontalną tak pogłębioną, — że zdumiewa, olśniewa i zarazem podbija czytelnika. Brückner wspomina o dotychczasowych wysiłkach swojskich i obcych w kierunku wyjaśnienia dziejów reformacji u nas, — a to, co mówi w krótkim zarysie, jest wynikiem, kondensacją długoletnich własnych dociekań. Niepodobna bez narażania się na zarzut banalnego wymieniania treści, rejestrować jej choćby w skrócie najzręczniejszym. Oba bowiem nadmienione zeszyty od początku do końca są klasycznym wzorem, jak buduje się prace naukowe, obliczane jedynie na wysłuchanie jądra prawdy, z unikaniem wszelkiej figuralności, wszelkich ozdób i krasomówstwa. Dopiero na fundamencie tych ogromnie ciekawych przyczynków, tych cegiełek nieocenionych, prawdziwie ogniotrwałych, stanie gmach syntezy, — ale już nie z azbestu, jak dotąd przeważnie bywało, lecz z materjału stałego i trwałego. Znamienite i znane nazwiska zasiliły redakcję swojemi pracami, a więc Brückner, Czubek, ksiądz Jan Fijałek, prof. Ptaśnik, Wacław Sobieski, Stanisław Kot i t. d. Niepoślednie znaczenie posiada w wydawnictwie dział sprawozdawczy

eł.

Wanda Miłaszewska. „Veni creator". Nowele. Instytut wydawniczy. „Biblioteka polska" — Warszawa — 1921 r.

„Veni creator" jest debiutem beletrystycznym utalentowanej skądinąd poetki, z którą ongi przed wojną — miałem zaszczyt stawiać pierwsze kroki w miesięczniku „Sztuka". W poezjach p. Jentys-Miłaszewskiej tętnił jakiś podziemny, niedostrzegalny gołem okiem nurt, będący zadatkiem i istotą zarazem poetyckiej wyobraźni.

Odtąd minęło lat kilka. W ciągu tych lat wieczność cała przewaliła się przed nami w jakimś szalonym pośpiechu, jak krajobraz, oglądany z okien ekspresu. Wiele przebrzmiało, wiele uległo niespodziewanym zmianom.

I dlatego właśnie „Veni creator" wziąłem do ręki bez zawodu, jaki spotyka się u „zawodowych" krytyków, gdy twórczość poety potoczy się odmiennem nieco — wbrew przewidywaniom — łożyskiem.

Nowele p. Miłaszewskiej są bezsprzecznie zapowiedzią talentu, znajdującego się obecnie w fazie rozwoju i poszukiwań. Jedno i drugie utrudnia wysoce krytykowi wykazanie znamion indywidualnych, motywujących potrzebę tworzenia. Tę krytyczną wiwisekcję rezerwuję sobie przeto do następnego tomu p. Miłaszewskiej, który bezwątpienia odsłoni nam w całej pełni i wyraziście to, co stanowi istotną odrębność twórcy.

Już w tych kilkunastu nowelach wyczuwa się pewne rzuty i upodobania, może na razie nikłe i nie dla wszystkich widoczne, wskazujące jednak, jakiemi drogami może i powinna się potoczyć twórczość p. Miłaszewskiej.

Przykazanie Słowackiego, że „wszystko dla ducha, a nic dla cielesnego celu nie istnieje", rzucone wszystkim po kolei idącym pokoleniom, zaczyna przybierać realne kształty, staje się wreszcie czemś branem na serjo.

W naturalistycznych napozór nowelach p. Miłaszewskiej ten utajony oddech wieczności faluje tu i owdzie, w jakiejś zapalającej się znienacka gwieździe, zwiastującej nowe życie („Veni creator") i w spadającym z drzewa listku akacji, zapowiadającym przyspieszony krok śmierci („Narzeczona").

Podkreślenie łączności duszy człowieczej z otaczającym nas światem świadczy o głębszem pojmowaniu istoty życia, które właśnie przez swą realność jest tak nieuchwytne i pełne utajonej poezji.

E. K.

Z całej Polski.

Gazeta i Dziennik Gdański zamieściły odcinek p. t. „Siła asymilacyjna Polski". Znajdują się w nim pewne wyjątki z „Historji Lwowskich" żywego opowiadacza Stanisława Wasylewskiego, rozszerzone przez autora feljetonu. Wasylewski podaje szereg przykładów. Starostą austrjackim w Lublinie był Herz Vincenz Pohl.

„Ledwo krótki czas pożyć zdołał pośród nas, nie pytając się o jego zgodę, siła asymilacyjna otoczenia potrafiła porwać mu syna i uczynia zeń... „najb rdziej polskiego z liryków polskich w XIX wieku. To dziecko niemieckie tak sobie upodobało umierającą Rzeczpospolitą, że jemu właśnie szepnie ostatnie słowa pożegnania: Wincenty Pol, syn starosty, napisze „Pieśń Janusza". Nie byłże to cud, sprawiony przez plenną i rodną władzę cywilizacji polskiej"?

Takich cudów było wiele, cóż bowiem przydarzyło się w Siemianówce pod Samborem?

Vencel Shejnoha Vtelensky nazywał się k. k. Mandator z Czech, na zagładę Polaków przysłany, i on wychował nam jedynaka, wielkiego artystę-dziejopisa, Karola Szajnochę, który pierwszy uczyć będzie Polaków, jak mają pisać swą historję!...

Pruski magazynier solny w Kałuszu nie przewidział, wędrując do Polski, że jego własne rodzone dziecko zmieni się w wielkiego męża stanu i statystę Smolkę; a ów respicjent straży skarbowej, który przywędrował do „Galicji" aż z nad Renu, czyż wiedział, że wędruje po to, by dać tu życie najweselszemu humoryście, polskiemu Dickensowi—Janowi Lamowi?...

Owa siła asymilicyjna polskiego otoczenia sprawiała takie cudy, że zdziwił się im w r. 1831 nawet cesarz austrjacki, Franciszek I, mówiąc:

„Że Polacy galicyjscy idą do powstania, to mię nie dziwi, — byli oni oddawna tolle Köpfe. Ale nie mogę pojąć, czego tam szukają synowie moich urzę-

http://rcin.org.pl

dników! Wszakże u Pana Boga za piecem nie będzie im lepiej, jak u mnie?!“

Iluż ich poszło do powstania, aby przelewać krew niemiecką za sprawę polską! I właśnie najwięcej synów tych urzędników austrjackich, którzy przysłani byli na naszą zagładę.

Jakież tragedje odbywać się musiały w duszach ojcowskich na widok nieprzeczuwanych skutków siły polskiego nawyku i polskich umiłowań!

Radca gubernjalny Reitzenheim we Lwowie po wybuchu powstania w Kongresówce obmyślił projekt nałożenia surowych kar więziennych na rodziców, których dzieci zbiegły za granicę. Pan radca — jak świadczy Leon Sapieha w swych pamiętnikach—przyszedł rano do gubernjum, aby przedstawić swój projekt, i dowiedział się z raportu policyjnego, że jego rodzony syn przystał również do powstańców i zbiegł do Królestwa (by zostać później na emigracji gorącym patrjotą i przyjacielem Słowackiego). Skonfundowani dygnitarze zebrali się na naradę nad brzydkim wypadkiem i cóż spostrzegli? Postępek Reitzenheima nie został odosobniony. Synalkowie wielu zgromadzonych zdążyli już pójść za jego przykładem. Uciekł z domu jedynak okrutnego Wittmana, poszli synowie Van Roy'a, konsyljarza rządowego Webera, sędziego apelacji, oficera Rosenberga, starosty Ostermana, dalej rozmaite Titzen'y, Grossy, Krausowie i cała falanga innych. Der tolle polnische Adler pomieszał biedakom zmysły...

Nemezys dziejów sprawiła, że w kryminałach, które policyści austrjaccy pobudowali dla polskich buntowników, odsiadywały często karę ich własne dzieci. Takim więźniem był Henryk Szmitt, historyk i nieustraszony rewolucjonista, takim kryminalistą był dziennikarz Karol Widman. I wiele innych nazwisk szanownych wywodziło się z prostej linji ze świata urzędniczego: emigrant i literat Ludwik Nabielak był synem śląskiego oficjalisty; malarz Kornel Szlegel — dzieckiem komisarza w cyrkule stanisławowskim; czerwony trybun Lwowa Otto Hausner—synem kupca z Hamburga. Zazwyczaj już w drugiem pokoleniu przestawali istnieć Niemcy galicyjscy, zasilając posłusznie i użyźniając najmłodszą warstwę miasta: średniej inteligencji.

Tyle pismo gdańskie.

Nie tylko jednak Lwów miał czarodziejską moc przyciągania i duchowego zeswojszczania synów cudzoziemskich urzędników. Poza nazwiskami przytoczonemi możnaby nawet w grodzie nadpełtwiańskim wyliczyć inne głośne, jak n. p. profesora Wszechnicy Wiedeńskiej, znakomitego uczonego Ernesta Fingera, syna dyrektora policji, który bynajmniej nie zapomniał o kraju rodzinnym i włada dobrze jego językiem. Cały blask polskiej siły asymilacyjnej przejawi się w iście żarowem świetle na wspomnienie nazwisk Lelewela, Helcia, Lengnicha, burmistrza Krakowa Dietla, prezesa Akademji Umiejętności Józefa Meyera, nieśmiertelnego Kolberga, Jana Matejki (właściwie Matiejka, Czech z pochodzenia), Józefa Oettingera, twórcy polskiego słownictwa medycznego i t. d. Przy bliższem rozpatrzeniu wzdłużyłaby się niepomiernie litanja. Dobrze, — że p. Wasylewski przypomniał — a za nim gazeta gdańska powtórzyła, — ciekawe zjawisko. Ma ono szczególnie pouczające znaczenie w dzisiejszych chwilach, w dobie wzniesienia naszej państwowości i odziedziczenia po mocarstwach rozbiorczych obcych żywiołów. Tylko umiejętne obchodzenie się z niemi, tylko niedrażnienie,—tylko uszanowanie wysokiego stopnia kultury n. p. niemieckiej i nieokazywanie pazura drapiącego i drażniącego, tylko mądrość stanu w urządzaniu wewnętrznego życia naszego narodu, pomogą znowu do przysporzenia społeczeństwu nowych Wierzynków, Morstinów i tylu innych dzielnych ludzi, którzy w średnich wiekach, a następnie w nowych, w czasie świetności patrycjału lwowskiego i krakowskiego, byli pomnożycielami dobra powszechnego.

* * *

Z powodu projektu rządowego o zwalczaniu działań, wymierzonych przeciw państwu, pisze krakowska *Nowa Reforma*:

„Jest zupełnie fałszywem mniemanie, że jeżeli jakiś organ państwowy okazuje się nieudolnym, jeżeli nie umie posługiwać się środkami takiemi, jakie, ma w ręku, to należy mu tych środków dać więcej, należy władzę jego rozszerzyć, a wtedy będzie lepszy. Nic podobnego. Jeżeli rozszerzycie zakres działania takiego niaudolnego organu, to skutek tego będzie ten tylko, że będzie on czynił więcej błędów. Nic ponad to. Zadanie tkwi nie w rozszerzaniu władzy naszej policji, lecz w nauczeniu jej umiejętnego posługiwania się temi środkami, które posiada ona z natury rzeczy. Są one zupełnie dostateczne. Wystarczają w każdem państwie Dlaczego nie miałyby wystarczyć w Polsce? Dlaczego tu właśnie mielibyśmy wracać do rosyjskich metod rządzenia, które, pomijając już to, że nie licują z najbardziej demokratyczną republiką, okazały się nadto właśnie najgorszemi“.

„Potrzeba tak rządzić, aby w społeczeństwie i jego życiu nie tworzyło się podłoże dla agitacji komunistycznej; potrzeba ludzi oświecać, a organa policyjne i administracyjne stworzyć takie, iżby naprawdę umiały działać. Wtedy z pewnością nikomu nie przyjdzie na myśl uciekać się do środków wyjątkowych i barbarzyńskich, które nie zaszkodzą wprawdzie rzeczywistym wywrotowcom, ale słabe zawiązki poczucia prawa i porządku w społeczeństwie wyplenią do reszty“.

* * *

Nasze Pismo, organ Stowarzyszenia urzędników państwowych, zamieszcza w numerze 6—7 artykuł „U progu ruiny“, charakteryzujący smutne stanowisko pracowników biur państwowych.

„Dotychczasowa zabawa w państwo — zwraca uwagę *Nasze Pismo* — dobiegła do smutnego kresu. Stoimy u progu ruiny. Partje, które zapomniały o tem, że poza partją i ponad partją stać musi patria, partje, które zmagały się ze sobą nie dla wprowadzenia tego lub innego programu, lecz jedynie dla zasady, doprowadziły kraj nad taki brzeg, że oto brak jedynie jednego tylko jeszcze niewłaściwego kroku, a stoczymy się w przepaść. Znaczna część społeczeństwa nie zdaje sobie z tego sprawy, że my, urzędnicy, musimy sobie tragiczne to położenie jasno i niedwuznacznie przedstawić i pamiętać musimy o tem, że w poszukiwaniu sprawców tego, co się stało, lwia część winy przypisywana jest pracownikom państwowym. *Były Prezydent Ministrów i na wiecach i w Komisji sejmowej oświadczył, że urzędnicy sabotują ustawy.* Zarzut to niezmiernie poważny. I mimowoli ciśnie się na usta zapytanie, co

http://rcin.org.pl

Pan Prezydent z urzędnikami tymi zrobił, czy oni dalej zajmują swe stanowiska, a jeżeli tak, dlaczego? Pośrednią odpowiedzią na to byłaby może ta część oświadczenia byłego pana Prezydenta Witosa, w której ten bezradnie rozłożywszy ręce powiedział, że trudno poradzić, bo za jednym złodziejem urzędnikiem ośmiu posłów instancje wnosi. I znowu szkoda, że Pan Prezydent nie powiedział nam, z którego to stronnictwa posłowie najwięcej złodziei ochraniają i co pan Prezydent z posłami tymi i jako Prezydent i jako poseł zrobił i jakie przedsięwziął środki, aby tego rodzaju niewłaściwe instancje miejsca nie miały. Wyjaśnienia takie byłyby konieczne, gdyż tego rodzaju ogólne zarzuty rzucają cień na wszystkich. Nie mamy prawa ani powodu nie wierzyć temu, co Pan Witos jako Prezydent powiedział, nie możemy też zaprzeczyć kategorycznie i energicznie zarzutom, wysuwanym przeciwko pracownikom państwowym, boć choćby ostatni proces Wereszczyńskiego przykładem jest, że w administracji naszej nie wszystko dzieje się, jak się dziać powinno, ale mamy prawo i możność zakasać rękawy i bezwzględnie i bezwarunkowo domagać się i tępić w około siebie wszelkie plugastwo i dyletantyzm, który obsiadł organizm państwowy, toczy go i egzystencję państwa podrywa. Nie kto inny, tylko my sami urzędnicy domagać się musimy bezzwłocznego usunięcia ze sfer urzędniczych tych wszystkich jednostek, które dzięki protekcjom partyjnym i poselskim pozajmowały wysokie stanowiska i na stanowiskach tych rady sobie dać nie mogą i nieudolność swą pokrywają wymyślaniem różnych kawałów urzędniczych, które wszystkim szkodzą, a administrację państwową ośmieszają.

Przystępując do budowy państwa, mieliśmy swoją ambicję. Nie chcieliśmy nikogo naśladować. I oto stworzyliśmy biurowość z tego, co najgorszego miał biurokratyzm niemiecki, austrjacki i rosyjski, do tego dodaliśmy koncepty wymyślone w ciszy gabinetów nieudolnych szefów i stworzyliśmy biurokratyzm taki, jakiego w żadnem państwie niema. Biurokratyzm ten, zcentralizowanie władzy, owe aprobaty, superaprobaty i rewizje, kontrole i kontrolki zajmujące czas, to zmory — które kładą się na żywy organizm państwa, wysysają z niego soki i paraliżują wszelką akcję. Z tem bezwzględnie walczyć musimy.

Pracownicy państwowi nędzę cierpią i butów za co nie mają kupić. A są też i tacy pracownicy państwowi, którzy codziennie jadają w pierwszorzędnych restauracjach i tysiące za kolacje płacą. Tych mamy prawo spytać, z jakich źródeł czerpią swoje dochody, a jeżeli nie wyjaśnią źródła tego dochodu, mamy prawo i musimy się domagać bezwzględnego ich usunięcia z urzędów".

Z życia młodzieży.

Wśród kwestji najbardziej interesujących ogół młodzieży na plan pierwszy wysuwa się sprawa ogólnokrajowego zjazdu akademickiego, mającego się odbyć 17, 18, 19 grudnia w Wilnie.

Ponieważ poprzedni zjazd nie ustalił ordynacji wyborczej, pozostawiając sposób przeprowadzenia wyboru delegatów poszczególnym środowiskom, toczy się obecnie walka pomiędzy „prawicą", chcącą podzielić mandaty pomiędzy poszczególne organizacje, mające swych przedstawicieli w konferencji międzystowarzyszeniowej, a „lewicą", dążącą do wyborów powszechnych, t. j. ogółu zorganizowanych akademików.

W walce tej „prawica" znalazła sojuszników w przedstawicielach kół naukowych, co uczyniło siły stron walczących niemal że równemi.

Walka tych kierunków jest w pełnym biegu.

Ze względu na zupełny brak skłonności do kompromisu z obu stron, istnieje prawdopodobieństwo, iż Warszawa wyśle dwie delegacje.

W Lidze Praw Człowieka.

Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela urządza w nadchodzący wtorek d. 13 b. m. w małej sali Towarzystwa Hygienicznego (Karowa 31) o g. 8 w. zebranie ogólne członków w sprawie repatrjacji.

Wiec publiczny w sprawie ustaw wyjątkowych, odbył się w dniu 4 grudnia r. b. w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa szczelnie wypełnionej.

Pierwszy zabrał głos mecenas Smiarowski, który ze ścisłą logiką prawniczą analizował projekty ustaw wyjątkowych, wykazując, że są one zamachem na wolność obywatelską, a stać się mogą niebezpiecznem narzędziem w ręku stronnictw znajdujących się u władzy. Następnie poseł Barlicki dowodził potrzebę budowy wolności, opartej na poczuciu praw i obowiązków społecznych, a poseł Woźnicki wykazywał, że istniejące obecnie ustawy, otrzymane w spadku po zaborcach, przewidują wystarczające kary na ludzi, którzy istotnie działają na szkodę państwa.

Wreszcie p. Weychert-Szymanowska sięgając do historji i tradycji wolności i demokratyzmu w Polsce, dowodziła, że ustawy wyjątkowe są sprzeczne z duchem narodu.

Po wysłuchaniu przemówień zebrani jednogłośnie przyjęli następującą rezolucję:

„Zebrani na wiecu Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatell w d. 4 grudnia 1921 r. w liczbie przeszło tysiąca osób, protestują przeciw projektowi ustaw wyjątkowych, które oddają obywateli polskich na łup policyjnej samowoli, zabijając w społeczeństwie poczucie prawa, poniżają godność obywatelską, wprowadzają w Polsce stan niewoli i ucisku, i w ten sposób zagrażają całemu państwowemu i społecznemu życiu narodu".

O współczesnej literaturze rosyjskiej.

We środę 14 grudnia o godz. 8-ej wieczorem w Klubie Artystycznym („Polonia") wygłosi odczyt redaktor Leon Kozłowski.

Zarząd Banku Ziem Kresowych

Sp. Akcyjna

podaje do wiadomości pp. Akcjonarjuszów, iż w dniu 28 grudnia r. b. o godz. 12-ej w poł., w lokalu Zarządu Banku w Warszawie, ul. Marszałkowska № 15-a m. 6, odbędzie się NADZWYCZAJNE WALNE ZGROMADZENIE AKCJONARJUSZÓW BANKU z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie Zebrania, 2) Wybór Przewodniczącego, 3) Sprawozdanie z dotychczasowej działalności Zarządu i Rady, 4) Wybór Rady Nadzorczej i Zarządu, 5) Redukcja liczby członków Rady Nadzorczej i Zarządu, 6) Upoważnienie Zarządu do otwierania na przyszłość nowych Oddziałów, 7) Upoważnienie Zarządu do zawierania ewentualnych umów, 8) Zmiana niektórych paragrafów Statutu, 9) Wolne wnioski.

Prawo uczestniczenia i głosowania w Zgromadzeniu przewidują §§§ 57, 58, 59 i 60 Statutu Banku.

http://rcin.org.pl

TYDZIEŃ POLSKI

Pismo poświęcone zagadnieniom życia politycznego, społecznego i literackiego

otwiera prenumeratę na rok 1922.

Trzeci rok wydawnictwa.

Wstępując w trzeci rok istnienia może **Tydzień Polski** wskazać na obfity dorobek artykułów piór pierwszorzędnych, znamienitych formą i głębią myśli. Przedrukowywane i omawiane w całej niemal prasie polskiej, wnikały one w społeczeństwo i zmuszały je do zastanowienia się nad bolączkami narodowemi, dzięki jasnemu i przedmiotowemu oświetleniu tematów. Wolne od wszelkich odcieni liberyjnych, wyzwolone z konieczności wypowiadania się podług narzuconych formuł, szły w świat jako nieskrępowane głosy prawdziwie wolnej, krytycznej i twórczej myśli ludzkiej.

Koła przyjaciół naszego pisma wzmagają się coraz bardziej, wzmaga się też ilość i różnorodność współpracowników tak, że czytelnicy znajdą na łamach **Tygodnia Polskiego** najdokładniejsze odbicie objawów aktualnego życia narodu, ujęte w ramy spokojne, rzeczowe, wolne od wszelkiej animozji i osobistych zaczepek.

W przeświadczeniu, że nasze skupienia mieszczańskie powinny odegrać w rozwoju państwowości pierwszorzędną rolę jako środowiska działalności umysłowej i przemysłowej, zwrócimy baczną uwagę na potrzeby i warunki bytu miast, na zagrody, wstrzymujące ich pochód do świetnej przyszłości.

W ubiegłym roku umieścili prace w **Tygodniu Polskim** następujący autorzy:

Prof. Jan Baudouin de Courtenay, Attilio Begey, prof. Fr. Bossowski, D-r I. E. Chmielewski, Marjan Dąbrowski, A. Diveky, Wł. Dzwonkowski, Julja Dicksteinówna, Jerzy Fiedorowicz, Wład. Günther, Xawery Glinka, Tadeusz Grużewski, D-r T. Hryniewski, prof. Józefa Joteyko, W. Kara, St. A. Kempner, Feliks Kierski, St. Kołaczkowski, Edw. Kozikowski, Leon Kozłowski, I. W. Kosmowska, prof. Jan Kucharzewski, Ludwik Kulczycki, Jerzy Kurnatowski, Radosław Krajewski, Antoni Lange, Zygmunt Łada, Aleksander Lednicki, Jan Lorentowicz, Ernest Łuniński, Bolesław Lutomski, Władysław Mickiewicz, Iza Moszczeńska, Jan Parandowski, Stanisław Posner, Leon Pączewski, ks. arcybiskup Edward Ropp, Wincenty Rzymowski, Gabriel Seaille (prof. Sorbony), Leopold Staff, Maciej Szukiewicz, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, prof. St. Wędkiewicz, Adam Zagórski, prof. Marjan Zdziechowski, prof. Tadeusz Zieliński, d-r Józef Zieliński, Emil Zegadłowicz, prof. Fryderyk Zoll, Jan Żarnowski.

Celem uregulowania nakładu prosimy Sz. prenumeratorów o wznowienie prenumeraty przed 1-ym stycznia.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.
Prenumerata „Tygodnia Polskiego” wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **80 mk.**
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.
Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

SPÓŁKA AKCYJNA WYDAWNICZO-DRUKARSKA „PRACA”, KREDYTOWA 2/4. TELEFON 60-70.

http://rcin.org.pl